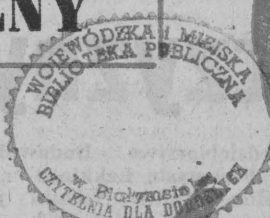


MAGAZYN
ŚWIĄTECZNY

Gazeta Współczesna

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 288 (8972)

Białystok — Łomża — Suwałki, 24—25—26 grudnia 1979 r.

Nakład: 219.970

Cena 2 zł

Wojewódzkie Konferencje PZPR w Opolu i Toruniu

WARSZAWA (PAP) — 22 bm. odbyły się Wojewódzkie Konferencje Sprawozdawczo-Wyborcze PZPR w Opolu i Toruniu. W obradach w Opolu uczestniczył zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR, przewodniczący Komisji Planowania przy RM, wicepremier TADEUSZ WRZASZCZYK, w Toruniu — sekretarz KC PZPR ANDRZEJ WERBLAN.

OPOLE (PAP) — Ambitne postawy społeczne, patriotyzm i zaangażowanie w codziennym działaniu, nadal dynamizować będą rozwój Opolszczyzny — regionu, którego piękne tradycje walk o polskość w latach zaboru germańskiego utrwała się dziś ofiarną i sumienną pracą, zwiększając wkład w ogólnonarodowy dorobek. Myśli te przyswiecały obradom Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Opolu. Ponad 88 tys. wojewódzkiej organizacji partyjnej reprezentowało 312 delegatów.

W obradach uczestniczył zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR, przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów, wicepremier Tadeusz Wrzaszczyk. W referacie sprawozdawczym członek KC PZPR, I sekretarz KW Andrzej Zabiński zobrazował wszechstronny dorobek regionu w latach siedemdziesiątych, kształtujący zarazem zwiększone aspiracje społeczeństwa. W okresie tym stworzono potencjał przemysłowy, który daje produkcję większą niż wszystkie zakłady zbudowane przed wyzwoleniem i w okresie powojennym.

Konferencja podjęła uchwałę precyzującą wezwanie zadaną w dziedzinie dalszego

rozwoju społeczno-gospodarczego regionu. Uczestnicy Konferencji wybrali 44 delegatów na VIII Zjazd PZPR, wśród nich Tadeusza Wrzaszczyka, Andrzeja Zabińskiego, Eugeniusza Grochała, Mieczysława Zajfryda, Stanisława Kosieckiego. Łącznie z 7 delegatami wybranymi na konferencjach zakładowych — opolska organizacja partyjna reprezentować będzie na VIII Zjeździe partii 51 delegatów.

Na pierwszym plenarnym posiedzeniu nowo wybranego Komitetu Wojewódzkiego wyłoniono Egzekutywę KW PZPR w Opolu. Funkcję I sekretarza KW ponownie powierzono Andrzejowi Zabińskiemu.

TORUŃ (PAP) — Zwiększenie wkładu społeczeństwa województwa toruńskiego w rozwój społeczno-gospodarczy kraju drogą dalszej poprawy efektywności gospodarowania, wzrost produkcji — rynkowej i eksportowej, a także poprawa gospodarki mieszkaniowej i komunalnej, oto główne nurty Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej PZPR w Toruniu. Blisko 57-tysięczna organizacja partyjna woj. toruńskiego reprezentowała na Konferencji 300 delegatów.

W obradach uczestniczył se-

kreতার KC PZPR Andrzej Werblan.

W minionych dwóch latach w województwie toruńskim nastąpił postęp we wszystkich dziedzinach życia — stwierdził w referacie sprawozdawczym zastępca członka KC I sekretarz KW PZPR w Toruniu, Bolesław Kapitan. Rozbudowano i unowocześniono przemysł, nastąpił szybki rozwój budownictwa mieszkaniowego, obserwuje się postęp w technicznej obsłudze rolnictwa, wzrósł standard życia mieszkańców regionu.

Konferencja podjęła uchwałę określającą program działania wojewódzkiej organizacji partyjnej na najbliższe lata.

Na Konferencji wybrano 28 delegatów na VIII Zjazd PZPR, wśród nich Andrzeja Werblana, Bolesława Kapitan i Mieczysława Grudnia. Łącznie z 6 delegatami wybranymi bezpośrednio na zakładowych konferencjach partyjnych województwo toruńskie na VIII Zjeździe reprezentować będzie 34 delegatów.

Na pierwszym plenarnym posiedzeniu nowo wybranego Komitetu Wojewódzkiego PZPR wyłoniono Egzekutywę KW. Funkcję I sekretarza KW powierzono ponownie Bolesławowi Kapitanowi.



Stosunki libijsko-palestyńskie

PARYZ — Jak informuje agencja France Presse, w najbliższym czasie może dojść do spotkania przywódców Algierii, Libii i Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Spotkanie, które miało się odbyć w Algierze, byłoby poświęcone omówieniu stosunków libijsko-palestyńskich.

Amnestia w Ugandzie

KAMPALA — Władze ugandyjskie zwolniły w Kampali ponad tysiąc więźniów, których uwikłano w stanowiący błąd żołnierze armii Idi Amina. Decyzję o ich amnestii wydał minister spraw wewnętrznych Ugandy, Paul Muwanga.

Wykrycie spisku w Boliwii

HAWANA — Władze boliwijskie wykryły znaczne składki broni przeznaczanej do wywołania rewolucji. Minister Spraw Wewnętrznych Boliwii Jorge Selum przemawiając na konferencji prasowej zaalarmował o aresztowaniu grupy osób należących do spisku. Kierownikiem spisku Fernando Kefer, wiceminister Spraw Wewnętrznych w rządzie pułkownika Alberto Natuscha, który doszedł na krótko do władzy w listopadzie br. po przewrocie wojskowym.

Trzęsienie ziemi w Kalifornii

WASZYNGTON — W piątek w godzinach wieczornych w południowej Kalifornii i południowo-zachodniej Arizonie zarejestrowano trzęsienie ziemi o sile 4,8 st. w skali Richtera. Trzęsienie, którego epicentrum znajdowało się w odległości 25 mil na południowy wschód od Mexicali w Meksyku i 35 mil na południowy zachód od Jumu w Arizonie, nie spowodowało ofiar w ludziach ani strat materialnych.



NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE,
WSZELKIEJ POMYSŁNOŚCI W ŻYCIU,
DOBREGO I PRZYJEMNEGO ODPOCZYNKU

Sklada Naszym Czytelnikom
Zespół „Gazety Współczesnej”

Jest to fragment jednego z blisko 600 pamiątek, jakie napłynęły na konkurs „Oblicza współczesności”.

Pracą tą inauguruje druk najbardziej ciekawych refleksji — zwierzeń.

Babskie narzekania są inne, chłopskie inne. Niech się tylko mężczyźni spotkają, w zlewni, czy przed kościołem, to zaraz ta sama gadka. A to takich części do maszyn nie ma, a to innych, a to ciągnik przyznali w gminie komu innemu, a to trzeba się naczekać, zanim za własne pieniądze maszynę jaką można kupić. Ale jakie to się teraz mądre te nasze chłopcy zrobili, wiedzą jaka część do czego, jak się nazywa, albo jakich nawozów brak, a jakie odmiany ziemniaków siewa, rolnicy całą gębą! Karły specjalizacji mają, prawa jazdy, takie na ciągniki, oczywiście, a ten lub inny i na samochód się szarpnął. Końcem to teraz nie robota, mało kto jeszcze się męczy.

W zbytku się nie kocham

Płocza gospodarze na kółko rolnicze, ale wystają w kolejkach po usługi. Który zamożniejszy, woli maszyn, choć ciężkim trudem zdobyte. Jak tylko jeden z drugim za kółkiem zasiądzie, to zaraz nosa zadzierają i co mu tam wtedy babskie sprawy i babska robota.

A co kobiety? Przedtem to każda pojechała koniem na pole, czy z targu do domu, jak mąż pijany w półkoszku spał, a teraz gorsza sprawa. Jechać to by się i pojechało tym ciągnikiem, ale najgorzej te prawo jazdy zdobyć. Uczyć się trzeba przepisów, na kurs chodzić. Ale już co młodsze spróbowały i jeździć aż miło patrzeć, a za kilka lat będzie więcej, bo przecie nie święci garnki lepią.

Przyszłoby się i mnie próbować, ale na moje szczęście syn wrócił ze szkół na gospodarstwo. Jechać to bym jeździła, bo tyle to potrafię, ale uczyć się to już na stare lata nie ma chęci, a i do głowy mi nie idzie. Oj, żeby tak dwadzie-

No niby dobrze, ale tak całkiem... Parę lat temu zachciało się memu mężowi specjalizacji. Inni mogą, a on to nie? Uparł się i nie było rady. Stara obora rozwałał, nożyczki wziął, przebudował i urządził nowoczesny. Zarodkowi ialewki zakupił i co roku więcej, bo obora musi być pełna. To prędko powiedzieć,

Poczekaj — mówię mojemu, poczekaj z tym wszystkim, niech choć syn wróci, a może nie zechce na gospodarce zostać, komu to wszystko robić, nam? Nam już o odpoczynku czas by pomyśleć. A on nic tylko swoje robi. Skłóciliśmy się o to kilka razy bardzo, bom czterech rąk nie miała i robocie podolać nie zawsze mogłam. Bo to kilku mężczyzn co dzień na obiedzie, to po zakupy lecieć trzeba, to na pole do udoju, to przy kuchni, a świnię, cielaki, dom, a na polu gdy przyszły sianowanie i żniwa. To choć dzień i noc rób.

Tak, po prawdzie, to ja też tej nowoczesności chciałam, bo i w gazetach czytało się ciągle, i w telewizji oglądało, i na zebraniach zachęcali przed-

Ciąg dalszy na str. 3

RODZINA



danie, bo Iwona ubrała ją w inną sukienkę.

— Marcin, po co ci ten szmurek? Poprosz Dorotę, Oblecywał, że nie będzieś przeszkadzać mamie, podczas rozmowy, prawda? No, w porządku, idź już.

One są grzeczne, tylko lubią zwracać na siebie uwagę. Zaraz pokaże się w drzwiach Ewa bo z pewnością nie wytrzyma długo na jednym miejscu, szczególnie gdy są goście. Każde z nich ma inny charakter. Dorota potrafi krzyknąć na resztę, ob staje przy swoim, czasami trudno ją przekonać. Ja nie powiem, że to są złe cechy. Taka przebojowość i pewność siebie jest potrzebna w życiu, zwłaszcza tym dzieciom. Ale muszę też brnąć pod uwagę całą gromadkę, by nikt nie odczuwał wyzłości Dorotki. Bo Iwona i Darek, choć starsze są zupełnie inne. Nicco s boku, oniesmieleni.

Ciesze się, że Wojtek lubi Dorotę. Widzi w nim starszego brata. Siedzą zawsze obok. Z kolei Dorota, Iwona i Kasia również razem się trzymają. To są moje starszaki, jak ich Ewa nazywa. — Ja też do dzieć. One są najważniejsze.

Pierwsza przyszła do nas Iwona. Przed Wielkanocą, w zeszłym roku. Nie wiedziałam jak ma się zwracać do mnie i do męża. Ja też nie próbowałam jej tego narzucać. Uważam, że słowa „mama”, „tata” nie przychodzi z nagle, nie można ich przypieć do każdej osoby. Musi nadejść odpowiedni moment. Po kilkunastu dniach powiedziała przy stole: tata ja chcę jeszcze...

Darek od razu poczuł się, jak w rodzinie. Po rozpakowaniu torby mówił do niego: umyj ręce przed obiadem — Proszę pani, o, przepraszam, mamę, gdzie ręcznik? Wcale nie tworzył dystansu. A może po prostu pragnął wrócić do domu, do rodziców. Bardziej przeżywał, gdy wie-

Ciąg dalszy na str. 8

Święta
na Zajączkowie

— Jerzy Brodziuk

— str. 4

O człowieku,
który zna 40
języków

— Julian Mikołajczak

— str. 5

Nad pięknym
modrym Dunajem

— Barbara Tudorowicz

— str. 8

Stille Nacht

— Józef Rybiński

— str. 9

Korespondencje

z Japonii, Buda-
pesztu i Słowacji

— str. 10

Wigilia z Polikar-
pem i krzyżowka
świąteczna

— str. 12

Przysiadę na fotelu, już zaraz kolo mnie Ewa, z drugiej strony wdrapuje się na kolana Bartek z Wojkiem. No i które wybrać? Wojka — bo mój syn, tamte dzieci, bo są spragnione uczuć rodzicielskich? Nie wiadomo czasami, jak postępować. Stawiam się więc nie stwarzać okazji do jakiegokolwiek wyboru. Kasia i Wojtek — jak normalne dzieci — najpierw źle reagowały na powiększoną, raptem o sześć osób rodzinę, Kasia zaczęła w nocy wstawać, była przygnębiona, smutna. Musiałam z nią pójść do poradni. A pani psycholog mówi: tym dzieciom każdy odruch prawdziwej życzliwości to już bardzo dużo, po tym co one przeszły, a swoim powinna pani dwa razy tyle, niż przedtem okazać serca.

Początkowo myślałam, że nerwowo nie wytrzymam. O, teraz, to każde z nich ma swój ulubiony zabawkę, zajęcia w krótkich. Godzinami ich nie słychać. Ale proszę sobie wyobrazić pierwsze dni, dziecko na nic nie reaguje, już po chwili wszystkich go nudzi. Usiadł przy oknie i wypatruje. Co jeszcze? Bezradna czułam się również wtedy, to przykró mówić, ale dzieci jady na wyjętej, były więcej chwycić. Nie wiedziałam, czy zwracać uwagę, czy udawać, że nie widzę. Jeszcze i teraz Marcin w przedszkolu bardzo dużo gada. Panie przed zkolanki pytają dlaczego. Wiece odpowiadam — po prostu apetyt mu dopisuje i rośnie. No, bo jak wytrzymać? Wojtek z kolej od małego był „nieładkiem”. Różne są dzieci. Wczoraj, na przykład, Ewa nie chciała przyjść na śnia-

c. d. ze str. 1

dząc, że będzie u nas, musiał jechać do sanatorium. Przed odjazdem spędziłyśmy razem cały dzień. Wieczorem był prawie chory z rozpaczy i niepewności, czy tu wróci. Codziennie przysyłał listy.

Dorota najwięcej sprawiała kłopotu. Nie podawała ręki, bokiem się odwracała do dorosłych, burczała pod nosem. Ja trochę ją rozumiałem. W końcu dorosła wyraziła jej największą krzywdę. (Wszystkie dzieci mają rodziców, pozabawionych władzy rodzicielskiej). Długo pozostawała sstywna i nieprzystępna, ale teraz często przychodziła szukać oparcia na moim ramieniu. Jak dziecko.

Z maluchami było najprościej. Naturalnie, bezpośredni. Bartek nie miał pięciu lat, gdy odbierałam go z Domu Dziecka. Dyrektor mu tylko wspominał, on już w minutę czekał gotowy. Wystrojony. Wszedł do pokoju, przysiadł na moment i zaraz podbiegł z okrzykiem „mama”. Tak się mocno przytulił. Słów brakowało, by opisać, co w tym czułym. Potem kurczowo złapał moją dłoń i już nie puścił. Uśmiechnięty machał kolegom i wychowawcom rączką na pozegnanie.

Nie zapomnę też nigdy jeszcze jednego momentu. Jedliśmy obiad i nagle poczułam natarczywy wzrok Bartka. Tak uważnie mi się przyglądał, jakby chciał coś przypomnieć. Co się stało? — pytam. — Mamusi, dla czego ty tak długo po mnie nie przyjeżdżałaś? Tyle czasu musiałam być sam. Dlaczego?

Maluchy myślały, że jestem ich rodzicami. Trudno im zrozumieć, a nam wytłumaczyć ten okres w ich życiu. Pamiętają jednak doskonale swój pobyt w Domu Dziecka. Początkowo nawet nie chcieli wychodzić na podwórko, chyba że razem z nami. Lęk przed wrotem do poprzednich warunków. Ilekroć miałam biady z Bartkiem, gdy latem wybrałam się z nim do Supraśla odwiedzić na kolo-niach Kasie, Iwonę, Danka i Dorotę. Rozpłakał się na środku miasta i oświadczył, że nie pójdzie do Domu Dziecka. Do głowy mi nie przyszło, że ten brzdąk poznał ulicę budynki.

Obserwuję często, że moja gromadka na każdym kroku podkreśla swoją przynależność do nas. Iwonka, nim tutaj zamieszkała, przychodziła pod budynek z koleżankami. Widziałam ją przez okno. Potem przysiadła się, że musiała o tym innym powiedzieć, pokazać. Z daleka oglądała swój dom, do którego nie miała jeszcze odwagi wejść.

Ale co bym tu chciała podkreślić? Wielkie przywiązanie, które w normalnych rodzinach nie jest tak spontanicznie przez dzieci o-kazywane. Podczas odwiedzin na koloniach one wprost zalewały z radości. To aż wzruszające. Mąż mówił

rozbowiony: wiesz z Danka zupełnie niepowinny chłopak. Piętnaście lat a omal mnie nie przewrócił przy powitaniu. Dla nas to są momenty, które utwierdzały w raz powziętej decyzji. Bo w rozmowach z ludźmi często padają pytania, ile na tym zarabiamy? Państwo macie pewnie duże mieszkanie? M-11? O proszę, Sna-scy to potrafią się urządzać! Z uśmiechem kiwają głowami. Jak to niesprawiedliwie! Życze wszystkim takiego wzbogacenia się i takiej kariery, jak niektórzy mówią.

Prawda, że dzieci mają doskonałe warunki. Własne pokoiki, meble, kolorowy telewizor. Cała szóstka posiada książeczki mieszkaniowe. Zaraz, zaraz do nich, żeby podać dokładne nazwy fundatorów, dziękując im raz jeszcze, Marcinowi i Bartko-wi wkład po dwadzieścia tysięcy ufundowało Okręgowe Przedsiębiorstwo Przemysłu Zbożowego — Młynarskiego. Ewie — dwadzieścia tysięcy — Wojewódzka Spół. dzielnia Ogrodnictwa-Pszczelarstwa. Danka ma na razie najmniej. Książeczkę z piętnastoma tysiącami dostał jeszcze w Domu Dziecka od zakładu Budownictwa Mieszkaniowego. Ostatnio Zakład Wykonawstwa Sieci Elektrycznych w Bielsztoku przekazał piękny prezent świąteczny Iwonie i Dorocie



Dzieci pomagają w kuchni, sprzątaj w pokojach. Jeszcze rok, dwa i będą z nich miała dużę pociechę.

RODZINA



Zajęcia w kółkach.

książeczki mieszkaniowe z wkładami po trzydzieści tysięcy oraz zetarki a pozostałym dzieciom — książki. Danka mówił do babci, że chciałaby mieszkać tu, na Piastu. Przycho-dziłaby wówczas często do nas. Kto wie, może rzeczywiście wszystkie moje dzieci dostaną mieszkania blisko siebie. Ja też mam pod bokiem swoje rodzeństwo.

Ale do rzeczy. Z pozoru więc wszelki kłopot z głowy. Nie muszę się martwić o ubranie, wyżywienie. Mało kto jednak bierze pod uwagę te codzienne problemy. Odrabianie lekcji, chociażby. Bardzo dużo czasu trzeba temu poświęcać. Nawet kosztowne spacerów. Przy okazji, jeśli już mowa o wolnym czasie, to z myślą o jego lepszym wykorzystaniu obiecuję nam Nysę. Cała rodzina liczy 11 osób. O czym zaczęłam? Aha, muszę im sporo pomagać, tłumaczyć. Mają olbrzymie zaległości. Ale już jest znacznie lepiej. O tyle może mi łatwiej w roli nauczycielki, że pracowałam kiedyś w szkole.

Pani przedszkolanka wspominała niedawno, że jak dotychczas nie widzi Marcina w pierwszej klasie. Mamy rok przed sobą. Zobaczymy. Wierzę, że Marcin w ciągu tego czasu dorówna poziomem do rówieśników. Najgorzej z Hecziem. Dojdzie do sześciu i dalej stop.

Bardzo ładnie, Kasiu, namalowałaś. Dorotki rysunek też piękny. Może teraz coś innego wymyślisz. Spróbujcie.

Widzi pani, jakie one jeszcze dziecinne. Trzeba pochwalić. Przede wszystkim zaś zauważyć. Nie można przechodzić obojętnie. Rodzice mówią: pragniemy wychować dzieci na porządnymi obywatelami. My te słowa rozumiemy jako wielką odpowiedzialność za przyszłość dzieci. Ale widzi pani, ja tłumaczę, co jest dobre, co złe, one słuchają, a potem widzą zniszczone przez samochody trawniki, polniane drzewka, wykry-

cone żarówki w piwnicy. Pod moim balkonem często leżą śmieci. Dzieci posprzątają, za jakiś czas przycho-dzą: mamusi, znowu brudno.

Kiedys sąsiadka pyta, gdzie ta pani rodzina? Jej wcale nie słychać. Myśmmy myśleli, że oni tu kłatkę roz-niosą. A to takie grzeczne dzieci. Przyjemnie tego słu-chać, naprawdę. A że czasami i rece opadają i ciężko poradzić ze wszystkimi obo-wiązkami, to przecież norma-lnie, jak wszędzie.

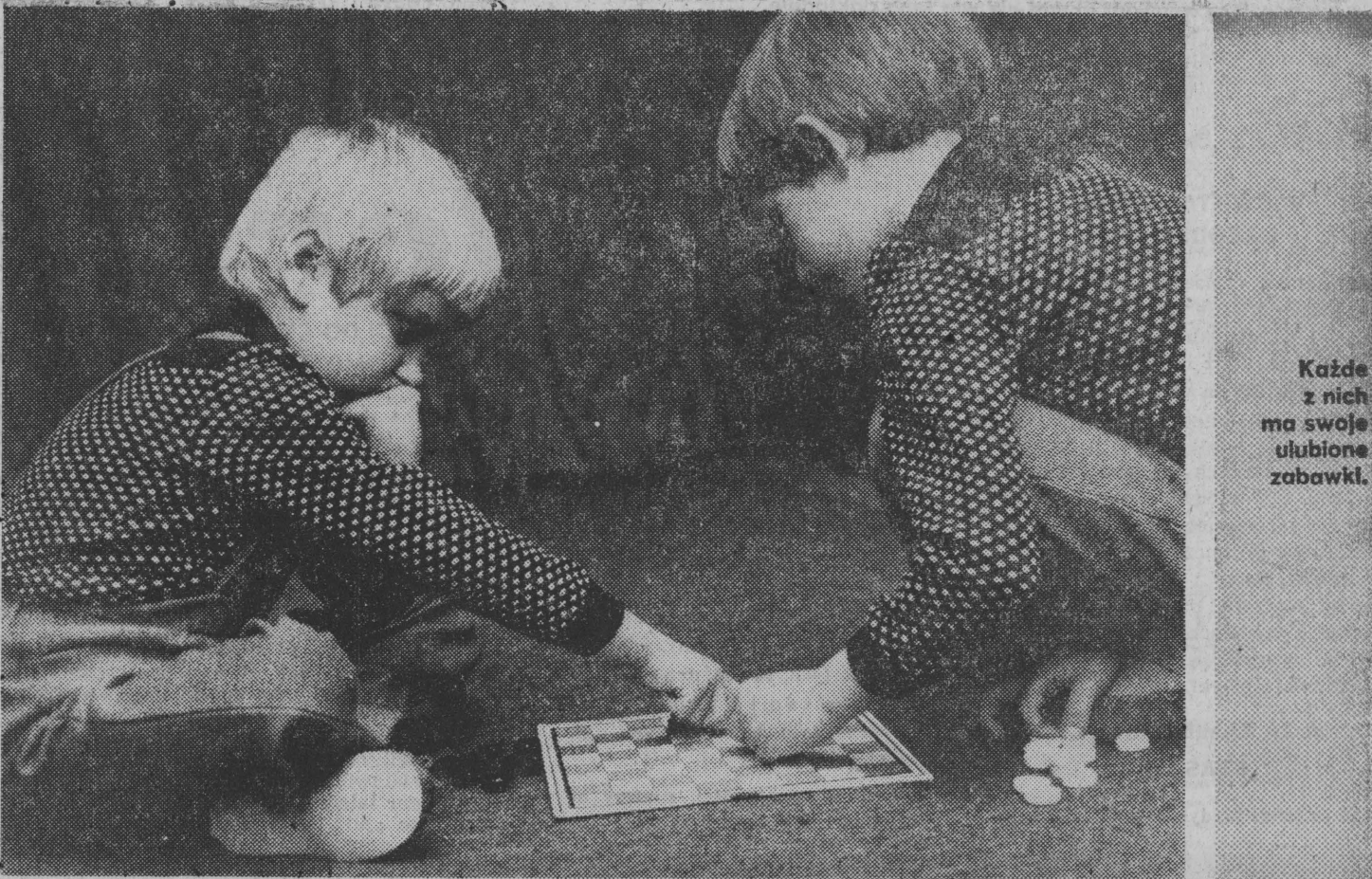
Ja sama też pochodzę z licznej rodziny. Była nas również ośmioro. I pamiętam, że nigdy niczego nie brakowało. Zawsze było wesoło w domu. Chyba właś-nie tym między innymi się

kierowałam, podejmując swoją decyzję. Na to pytanie zresztą najtrudniej od-powiedzieć. Panuje przekonanie, że rodziny zastępcze powinny tworzyć małżeń-stwa bezdzietne. Jednakowo wówczas dzieła uczucia. Ale ci ludzie — myślę — nie wiedzą, co znaczy miłość do dziecka. I dlatego nie biorą na siebie takich obowiązków.

— Chcesz jeść, Ewuniu. Zaraz będzie kolacja. Prze-praszam na chwilę. Kasiu, Dorotko, przygotujcie ka-napki.

Dziewczynki mi pomagają w kuchni, sprzątaj w po-kojach. Jeszcze rok, dwa i będą z nich miała dużą po-ciechę. A na razie planuję, co będziemy szykować na święta. Na równi z nimi czekam tych dni, szczególnie Wigilię. To będzie drugie Boże Narodzenie w naszej rodzinie. W tamtym roku ileż było wzruszeń. W o-czach Danka widziałam łzy. Jak umiał okazać swoją wdzięczność i miłość i babci, a potem rzucił się ojcu na ramiona.

ALICJA ZIELIŃSKA
Fot. Krzysztof Świdarski



Każde z nich ma swoje ulubione zabawki.

W zbytku się nie kocham

ciąg dalszy ze str. 1

awiciele różni. Nie my-dawski zaczęli, ale u nas to chyba tak. Znalazli się jeszcze jeden młodszy rolnik, hodowca bydła i było już nam trzech. Najwięcej to bałam się żółtych. Bo to potem te ra-cyony, płacę i procenty, to nie ekko, ale bez tego nie mogłyby nie zrobić Zapasów nie było. Bo i skąd? Z tych pa-ty hektarów piasku i kawałka kł? A przecież dzieci uczyły się i to poza domem, po kilka st. Kosztowało.

Najbardziej cieszyłam się z wodociągu. Miałam nareszcie wodę w domu, nie musiałam dźwigać wiader ze studni, kilkadziesiąt kilometrów. Obiecywali nam na zebraniach, czytaliśmy w gazetach, że znaczna część kredytu będzie nam umorzona, do 35 procent. To dużo. Odetchnęłam z ulgą, że jakoś poradzimy. Z początku ciężko było. Była to woda w oborze już sporo, a paszy mało, trzeba było kupować. Zaczęliśmy spłacać pożyczki i o te ulgi dochodzić. Pojechałam do Białegostoku

pytać co i jak, bo przecież ciągle w gazetach pisały, nawet gazety wzięłam ze sobą, żeby pokazać. A no — mówią — tak, ulga będzie, ale wpięć trzeba mieć kartę gospodarstwa specjalistycznego, po-większyć gospodarstwo o ctery hektary, mieć wymagana wydajność.

Spełniliśmy te warunki, a o uldze ani słychać. Przyzna-li trochę ulgi w podatku grun-towym, ale co to jest, gdy się ma do 400 tys. kredytów, to sam procent więcej wypisze.

Zdarzyło mi się nawet być nigdzie nie chodzącym, w redakcji „Dziennika Ludowego” na dyskusję rolniczej. Powie-dzia, mówię — poradźcie — jak to tak, dlaczego nie przyznają nam ulgi, przecież my, jedni z pierwszych w naszej miejscowości zaczęli, dali przykład innym, wymiśnili się z nas, a teraz nam zaszczyt, że ma-my wygode i bydlę ładnie nam się hoduje. Ale jest nam ciężko, tylko że nikomu nie mówimy, bo co to pomoże. Żeby to tylko pożyczka na obór, ale ziemi dokupiliśmy, łaki dodzierżawili i co teraz bez swoich maszyn? I cią-gnik trzeba było na spłaty wziąć...

Posłuchali, owszem, współ-czuli, przyznali słusność, wrzeszcząc w przepisach gdzieś posperali i mówią, że nie nam nie przyślą. Bo przed rokiem 1976 budowaliśmy, a dopiero w 1976 roku wyszło zarządzenie i nas nie obejmuj-e.

Nie kryłam mego zawodu i rozgoryczenia. Dlaczego nikt nie powiedział — poczekajcie jeszcze dwa lata, się nie spieszy-cie, kto się będzie ociagał, lepiej na tym wyjdzie. Rzeczy-wicie, lepiej wyszli na tym ci wszyscy co poczekali. Mają dużą ulgę i mogą z nas się śmiać.

Wróciłam do domu i już nigdzie nie chodzącym, w redakcji „Dziennika Ludowego” na dyskusję rolniczej. Powie-dzia, mówię — poradźcie — jak to tak, dlaczego nie przyznają nam ulgi, przecież my, jedni z pierwszych w naszej miejscowości zaczęli, dali przykład innym, wymiśnili się z nas, a teraz nam zaszczyt, że ma-my wygode i bydlę ładnie nam się hoduje. Ale jest nam ciężko, tylko że nikomu nie mówimy, bo co to pomoże. Żeby to tylko pożyczka na obór, ale ziemi dokupiliśmy, łaki dodzierżawili i co teraz bez swoich maszyn? I cią-gnik trzeba było na spłaty wziąć...

Moje łale miały też in-ną przyczynę. Krowom te mówię — wyszykowały mieszkanie ciepłe i wygodne, a my w starej chałupie całe życie siedzieli, zimnej i wilgotnej. Czy to ja bym nie chciała, jak inni mają — nowoczesne domy, wygodny, no, przeważnie mieszkalny, a inteligentni rolni-ków także. Też bym mogła zadzierać nosa, jak inni, a jak przyjadą dzieci i wnuki z miasta, to nie musiałby biegać do „wygódki” przez śnieg i błoto.

Co prawda to przyzwyczaili się już oni do wygod, na mieszczuchów wyróśli. Tylko całe szczęście, że ani roboty, ani nas starych się nie wsty-dzą. No, co prawda, wycho-wało się te dzieci, jak można na najlepiej, by na ludzi wyszli. Niemal się i oni na-pracowali zanim do czegoś doszli. Tyle lat w szkołach wysiedzieć nad książkami po

nocach. Studia, to nie zabawa. Mają teraz te nowoczesne mieszkania, czyściutki, wy-godne, ale pracować też mu-szą. Spieszą też na godzinę i w kolejkach ciężkiej postać muszą. Tyle, że niedziela i wolne soboty mają, a u nas to prawdę powiedziawszy, nig-dy święta nie ma, ani urlopu. A szczególnie kobieta.

Nie lubię niedziel, bo się tak samo upracuję jak każdego dnia, bo to obiad lepszy trze-ba przygotować, i sprzątnąć czyścić i samej się porząd-niej umyć, przebrać, bo w pow-szednie dni to nierzaz ze zmę-czenia ledwie się ręce i twarz umyję i już wali się człowiek jak kłoda do łóżka. Jeszcze w zimie, to jak w zimie, można robić się nie spiesząc, a wie-czorem to i telewizję obej-rzeć co ciekawszego. A jak tylko przyjdzie wiosna, potem lato i jesień, no to nie ma co nawet na sezar patrzeć. Słońce wschodzi, czas zaczynać pra-cę, a dzień jak morze, narobi się człowiek, aż gnaty trzeszcza i najczęściej choć już po zachodzie, a jeszcze roboty skończyć nie można. Dlatego młodzi tak uciekali do miasta. Ale co mam mówić na kogo, kiedy nasze dzieci...

Z początku wcale nie myś-leli wychodzić do miast, tyl-

ko się uczyli, no bo jakże się nie uczyć, kiedy takie dziś możliwości. Nie to co kiedyś, przed wojną. Przyniosłam świadectwo ukończenia szkoły podstawowej z samymi piąt-kami przeczytali rodzice.

Uczyć warto — mówią — ale nie z tego, bo szkoła to drogo kosztuje. A mnie się ro-ło w głowie Bóg wie co. Było tylko do szkół mnie pu-szcili. To bym może na czło-wieka wyszła, do pisania mia-łam wielką chęć, byle co, a-bym pisała. A tu trzeba było iść na pole, żyto sierpem żąć, za kolowrotkiem w zimie siedzieć, nieć kręcić, co zresztą bardzo lubiłam.

No i zostalam na gospodar-ku na całe życie, bom z niej wyrosła i teraz po latach wca-le tego nie żałuję, nie zaz-droszczę tym, co w mieście mieszka. Nieraz przyjeżdżają do mnie ludzie z miasta i po-doba się im u nas, choć po staroświecku jeszcze. No, tyle, że telewizor stoi na stole. A niedługo moja posażna ko-moda zachwyci i nawet kupić chciał. Tyle, że nie chciałam słyszeć o sprzedaży, choć dzie-ci nierzaz mi mówią — czas by to na starych wynieść, a ja nie — mówię — lubię te mo-ja komode i noki ja żywie, stać będzie, potem sobie robić co

chcecie. A tu miastowi kupię ją chęć, bo jest moda na różne starocie.

Mają u nas niektórzy pięknie urządzone domy, ale i tak siedzą najwięcej w kuchni, a pokoje stoją na pokaz. Meble, dywany i tak prosto z pod-wórka wejść na nie nie moż-na. Wychodzi się i wchodzi z obcisła kilkadziesiąt razy dziennie, kto by tam stać zmienił obuwie. A u nas zwyczajnie. Mnie i szmaciane chodniki dobre, w zbytku się nie kocham, tylko wygodę to by się przydały. Pamiętam, jak kupiliśmy telewizor, w sa-siedztwie nikt jeszcze nie miał. Wied o nas hurmem walił, dzieci, młodzież i stary to było dwadzieścia lat temu. Teraz każdy już ma w chałupie i siedzi ze swoją rodziną, jak ma czas.

My wówczas jeszcze nie myś-leli o telewizji, ale córka za-częła pracować i na raty wzięła. Ja tam specjalnie za tym nie przepadałam, ale mąż i syn, który wówczas jeszcze do podstawówki chodził, to na całe wieczory znikali z do-mu, do dalszych kuzynów na telewizję. A jak był mecz, to i w dzień. No to potem już siedzieli w domu, ale ludzi

ciąg dalszy na str. 4

Wreszcie na swoim. Wiesz jak to jest, jak się czujesz. Sufit ci pęka, przecierka sypie, drzwi nie domykają się. Piwnica zalana. Ale ty na to gwizdasz. Przynajmniej na razie. Chodzisz po tych kilku zakamarkach, oglądasz, przymierzasz, jak co ustawić i cieszysz się. Jakis fuszerowaty hydraulik rurę że przykręcił, sufia wysiadła, zalałem sąsiada. W rewanżu ten z góry posłał mi odpowiednią porcję wody. Zbilansowało się. Wzięłem specja rozpiłymi pół litra i gra. A obławianie chaty zrobię w święta, pierwsze w tych murach i chyba w ogóle na Zajęczkowie. Wpadnij.

Na pytanie o położenie ulicy Prusa odpowiedział tylko niechętnie łomżyńskie. Szybko wskazał jak dojechać na Górkę Zawadzką inaczej Zajęczkowie. Zawadzka — dlatego, że Zawady stąd już widać, mówią jedni, i że przez spółdzielni wojewódzkiej nazywa się Zawadzki — głoszą drudzy. Godzi ich jednak określenie Zajęczkowie, które określało też sposób poruszania się pierwszych mieszkańców blisko dziesięć lat temu. Z brudną, brudną, już legendą.

Na Prusa dojazd jest na Łomżyńską w miarę doskonały. Trochę dłuższe szuka się potrzebnego budynku. Jest. W klatkach schodowych brak list lokatorów, był świeży bieleń, ciemno. W nos uderzają już przedświąteczne zapachy pieczenia i gotowania, zmieszane z wonią farby olejnej, lakieru, świeżego drewna.

Janina i Jacek Narolewscy machają z zapalem pędzli. Dwa- i półletnia Ania miesza farby. Nie przerywam. Do świąt tylko cztery dni, mieszkanie w proszku, a Wigilia musi się odbyć na własnym.

Cztery lata mieszkaliśmy w teściów. Dwa lata sama, bo Jacek w wojsku. Więc cieszyć się, że nareszcie obydwie strony szerzej odechną. Mimo że nie było

wanie mieszkania. Na razie położymy lentex. Z czasem damy drewno, boazerię, może mozaikę. Bez pospiechu. Gniazdko powinno być przytulne.

— Nie za dużo tu znajomych?

— W bloku? To dobrze. Młode małżeństwa, małe dzieci, można będzie sobie pomagać, radzić, a i kłótnie wśród młodych długo nie trwają.

roku może zdobędziemy łózek.

Równie szybko wprowadzi się do uzyskanego mieszkania Obyrcy, Barbara pracująca w „Transbudzie” i Wiesław — stolarz z fabryki mebli.

— Za stancję płaciliśmy po tysiąc pięćset zł mieszkając. Przez trzy lata w jednym wilgotnym pokoju. Woda ze studni, urządzenia so-

które zawsze stoją puste, bo i tak by się wszystkie śmiecie w nie nie pomieszczyły.

— Na słabe ogrzewanie, egipskie ciemności.

— To i tak lepiej niż na stancji.

Patronacki blok wybudowano z inicjatywy ZSMP.

Odwiedziłem kilkanaście rodzin. Chwała Waldka Cwalin z Zarządu Miejskiego, który biegł za każdą sprawą, pomagał, ponaglał. I już narzekają na to, że nie jest tak jak sobie wyobrażali.

Większość już mieszka, inni się dopiero wprowadzają. Prawie wszyscy brali pożyczki. W mieszkaniach królują lentex, meble „Łomża” i „Wyszków”. Ci, co mają smykałkę w rękach jak Jacek Narolewski, Wiesław Obyrcy czy Zbigniew Tarnowski, układają podłogi, robią półki, szafy. Młode małżeństwa na tzw. dorobku. Przed blokiem tylko dwa małe fiaty. W porównaniu z widokiem przed innymi budynkami — raczej ubogo. Ale spotkać tu można także rumuńskie i jugosłowiańskie zestawy wypoczynkowe, kolorowe telewizory, pelexowskie dywany, glazurę i tapety, stereofoniczne radia i magnetofony.

Pierwsze święta. Inne niż poprzednie, bo na własnym, przez siebie wypracowanym. Bo u siebie. Takie same, bo podobna biegania z mięsem, pomarańczami, mizalami, bo w rodzinnym gronie. Na Zajęczkowie wylewa się już fundamenty pod następny patronacki blok. Kilku dziesięciu młodych ludzi rozpoczęło pracę na łomżyńskich budowach odrabiając połowę mieszkaniowego wkładu. Za rok będą jak ich koledzy cieszyć się i narzekać. Powodzenia.

JERZY BRODZIUK

Święta na Zajęczkowie

specjalnych międzypokoleniowych konfliktów.

— Wiec?

— Zaprośmy rodziców na święta. Wiesz co to znaczy być wreszcie gospodarzem? Pokazaliśmy, że sami możemy czegoś dokonać. A z pomocą przyszli młodzieńcy, w patronat nad budownictwem.

— Ile was kosztowało to mieszkanie?

— Gdy liczyć tylko żywą gotówkę — to mało. Około dziesięciu patyków, ale też teraz Jacka odrobki. Pracował szatając pędzlem na połowę wkładu; wykonanie tego mieszkania trwa już prawie dwa tygodnie.

— Wzięliście pożyczkę?

— Jasne, dla młodych małżeństw. Ale to za mało. Jacek jest na szczęście fachowcem, malarzem, a tej roboty tu nie brakuje. Dlatego też później niż inni rozpoczęliśmy zagospodarowanie.

Drzwi w drzwi z Narolewskimi mieszkają Bagińscy — Barbara, Tadeusz i półtoraroczna Justynka. Ona pracuje w PZU. On w zakładzie krawieckim. Przez blisko trzy lata tulał się po stancjach. Na własne szansa raczej nie miał. I tylko dzięki patronatowi.

— Pracowaliśmy we dwójkę na budynku Urzędu Wojewódzkiego. Dziecko w tym czasie było u teściowej koło Wini. Właśnie dziś mija rok od podjęcia patronackiej roboty.

Bagińscy wprowadzili się miesiąc po otrzymaniu kluczy, w sierpniu, położyli lentex, obrzucili farbą ściany. Za pożyczkę wzięli meble.

— Przez tę pożyczkę muszę pracować. Podobnie zresztą kilka moich sąsiadów. Zarabiam trzy tysiące, a za opiekę nad dzieckiem placę półtora. W przyszłym

ciągle w podwórzu. Skok ogromny. Z parteru na czwarte piętro, z dziewiętnastego w dwudziesty wiek. Tylko, że i w dwudziestym wieku wodę trzeba w misce łapać.

— Człowiek zawsze dąży do czegoś lepszego. Szybko się przyzwyczaił i już mu jest w nowym miejscu niezbyt wygodnie.

— Narzeka?

— Na co?

— Choćby na brak wody w dzień, na nie wykonane klatki...

— Przyszli malarze po biatko i tak zostawili. Jakby dali materiały to sami wymalowałbyśmy lampierie, wymyli schody, błoto by się nie nosiło.

— Na brak trzepaka, na jeden tylko śmietnik, właściwie to tylko cztery kuby,

przypisywać mu rolę bożka domowego. Ale nie wszyscy. Co najmniej połowa — odwrotnie. Uważa go za wielkiego diabła. Niewykluczone więc, że przydarzyło mu się to, co było udziałem nawet ważniejszych bóstw. Gdy zjawiali się nowi bogowie i rozszerzali władzę nad ludźmi, dotychczasowi musieli na gwałt zmieniać swą skórę i często stawali się... szatanami. A Skrzat ma w sobie coś diabelskiego. Nawet w swej nazwie. W języku duńskim nazywany jest „Nisse”, co ma źródłosłów identyczny z imieniem Niels. A przecież na wsi duńskiej od wieków nazywano czartha „Starym Nielsem”.

zmarli znów zjawiali się we wsi, nie wolno było wychodzić z domu. Kogo noc zastała w polu lub na podwórzu, mógł być wciągnięty siłą w pochód zmarłych, który przemierzał całą krainę pod wodzą samego boga śmierci Ody. Dopiero po północy co odważniejsi opuszczali chaty, by z płonącymi pochodniami w rękach oczekiwać nowego wschodu słońca, a później — gromadzić się w kościele na „chrystusowej mszy” (słowo „Christmas” u Anglosasów pozostało do dziś określeniem świąt Bożego Narodzenia).

Czas zmieniają się, obyczaje — łagodnieją. Poczciwy Skrzat dzi-

WRÓCI DO CICHYCH DOMOSTW...

Zanim na duńskiej ziemi zaczęto świętować Boże Narodzenie, istniał prastary obrzęd „Jul”, związany z przełomem dnia i nocy, z przecięciem ciemności, z narodzinami słonecznego światła. („Jul” w języku staroskandynawskim oznaczało słowo „zmiana” lub „koło”). Pod koniec grudnia czołło się pamięć zmarłych, składając na ich grobach dary: jądło i napitki. Zwyczaj ten rozpowszechniony był w większości krajów świata. Katolicki „dzień Wszystkich Świętych” stanowi unowocześnioną jego formę.

Jeszcze przed pięćdziesięciu laty w noc wigilijną duńscy chłopcy stawiali Skrzatowi w najciemniejszym kącie domu talerz z owsianką. W świętą noc „Jul”, w czasie której

siejszemu pokoleniu znany jest już chyba z ozdób w dziecięcych pokojach lub jako... sprzedawca w domu towarowym i to tylko w okresie Świąt.

— Ale choć zmuszają go dziś do zachwalania zakupów świątecznych i innych przyziemnych postug, nie zapomina, jaka jest jego prawdziwa rola. Przyjdzie czas, gdy rzuca przedśionki domów towarowych i wróci tam, skąd kiedyś przybył. Między zwykłych, prostych ludzi, do których a ciepłych zakamarków domostw...

JULIAN MIKOŁAJCZAK

(Kopenhaga — PAP)

Ciąg dalszy ze str. 3

ty się schodziło, że miejsca do siedzenia nie było. A w jesieni i w zimie, to niemało nieraz biota nanieśli. Ale przychodzić — mówiam, nie krępić się — gdy przetrzaszali za biotą — dywanów u nas nie ma, podłogę się wymyje i będzie jak była.

Do mnie sąsiadki zawsze przychodzi, bo więcej czasu mają, a ja to nigdy, żeby się tak na pogaduszki sąsiadki wybrać, nawet w zimie. Zdrowia coraz mniej, kwękam, stękam ciągle i robota nie idzie tak jak kiedyś. Drepczę nieraz godzinami, a tu ni za mną ni przede mną. Kiedyś to miałam podobno spryt do roboty, że mało się która ze mna zrównała, a teraz to już tylko męczę tą robotą.

Nieraz chce się trochę oderwać od tej dreptaniny spotkać się z ludźmi, porozmawiać. Czasami wyjeżdżam na kilka godzin do Białegostoku, ale to nie daleko, tylko 30 km. Rzadko gdzieś dalej. A i to bym nie jechała, tyle że sprawy się zalatwi i dzieci odwiedzę przy okazji. Każdy, nawet najkrótszy wyjazd kosztuje mnie tyle trudu, że potem na długo się odciechewa. bo chcąc wyjechać, trzeba więc co tylko można, zrobić na zapas, a po powrocie też napędzać. Mężczyźni moi też chętnie mnie czasem zastąpią, gdyż nie lubią babkiej robo-

ty. Nie tylko u nas, ale tak wszędzie w gospodarskich rodzinach, żona musi znaleźć czas, aby pomóc na polu.

Nieraz ledwie się trzymam na nogach, grypa jakaś czy serce sfiatygowane daje znać o sobie, ale nie ma mowy, abym choć mogła poleżeć. Zaraz mąż straszny przywiezie niem lekarza, a tu w domu bałagan, gdy nie mam siły wszystkiego zrobić, no i trzeba wstać sprzątać, a potem i obiad zgotować, i wszystko zrobić. I tak się powoli rozkładają i nie dają się chorobie, jak mógę. A warto wiedzieć, że na wsi za chorego uważa się takiego, co już tylko leży i wstać nie może, a taki co chodzi, to nie chory, albo się leni, albo udaje chorego. Dopiero jak śmierć zajrzy w oczy, to wtedy straszny krzyk, lament, wtedy leczenie, gdy jest za późno.

Przydałaby mi się już synowa, przydała, choć trochę strach, aby dobra, zgodna poddała, żeby piekła w rodzinie nie było. Kiedyś to szło się do teściów i siedziało cicho, jak mysz pod młotem. Dziś inaczej. Trzeba młodym zapewnić i mieszkanie oddzielne, i dochody dla nowej rodziny.

Tylko, że teraz trudno znaleźć takiej dziewczyny, co na gospodarstwo chce iść. Upatrzyłam sobie jedną taką na synową, w sam raz by pasowała. Dziewczyna gospodarna, pracuje z ojcem tylko na spo-

rej gospodarce, bo matka jeszcze gorzej na zdrowiu ode mnie. Jedzi ta dziewczyna ciągnikiem jak chłopak na pole, krowy sama wydoi, mleko do zlewni odwiezie, niebrydka, wysoka i w sobie niczego. Ale syn za innymi się ogląda, co to się boja pracy na gospodarce, a przecież wszędzie trzeba pracować.

— Ale nie te czasy, żeby synowi żonę wybierać, zięciów nie wybieraliśmy i córki dobre wybrały, to może i syn. Ale co by nie powiedzieć, teraz na gospodarce to co innego niż dawniej. Pewnie, że roboty nie brakuje, ale nie jest ona taka ciężka jak kiedyś. Przecież jeszcze nie tak dawno, bo kilkanaście lat temu, już nie sierpem, ale kosą kosiliśmy zboże. Trzeba było odebrać, związać każdy snopkę, a ziemniaki motyką się kopało.

— I przy sianie się trzeba było naszarpać grabiami, a ręce bolają, a już najgorzej było sadzenie kartofli pod motykę, godzinami chykiem do samej ziemi, plecy bolają jak kijami obite. A teraz, proszę, maszyna posadzi, pograbi, przewróci siano, zwiąże, wykopie. Jeszcze gdy byłam dzieckiem to nikomu to się nie śniło. Wszystko idzie do przodu na wsi i w miastach.

U nas, w Knyssynie rosną domy nowe jak grzyby po deszczu. I nie takie jak po wojnie się stawało, byle jak.

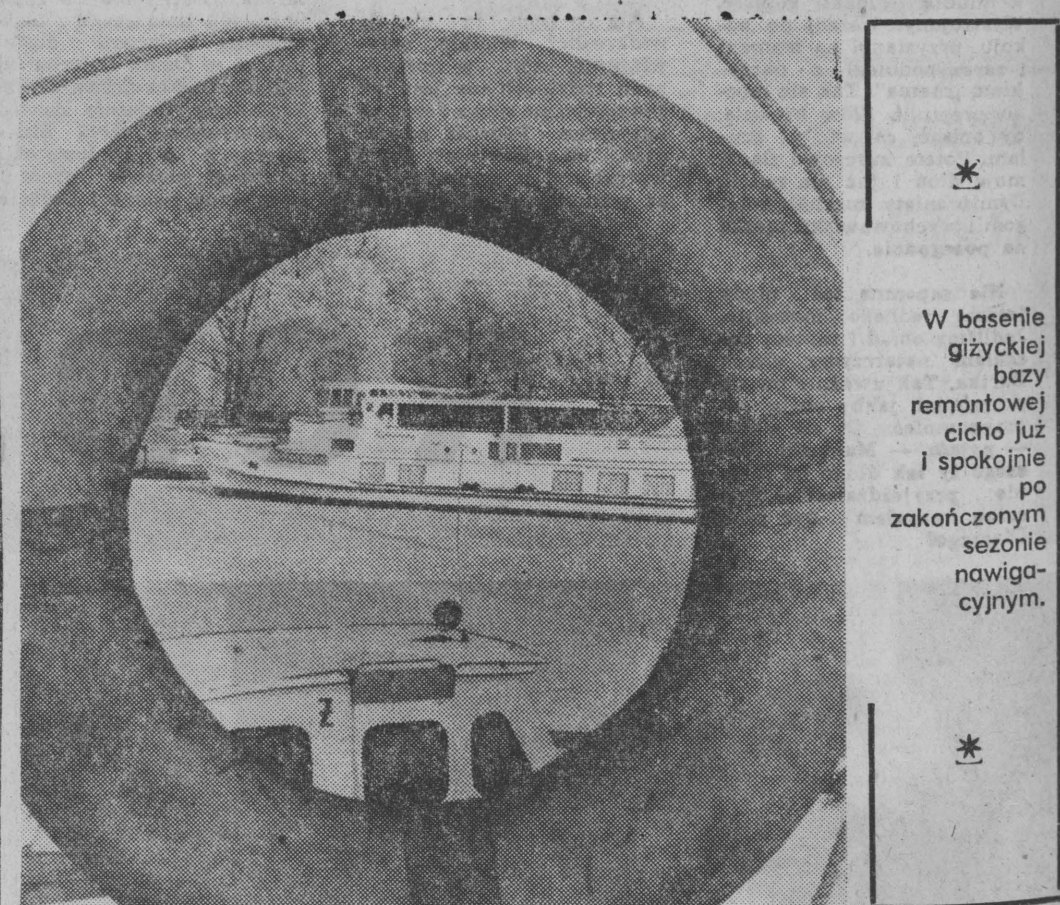
Zimowy sen

„Żegluga Mazurska” zakończyła sezon nawigacyjny 11 grudnia br. Tego dnia wpłynęły do przystani ostatnie holowniki, pracujące na Wielkich Jeziorach Mazurskich. Mimo, że pasażerowie „białej floty” dawno już zapomnieli o tegorocznych przejażdżkach po wodzie, dla marynarzy praca bynajmniej się nie skończyła.

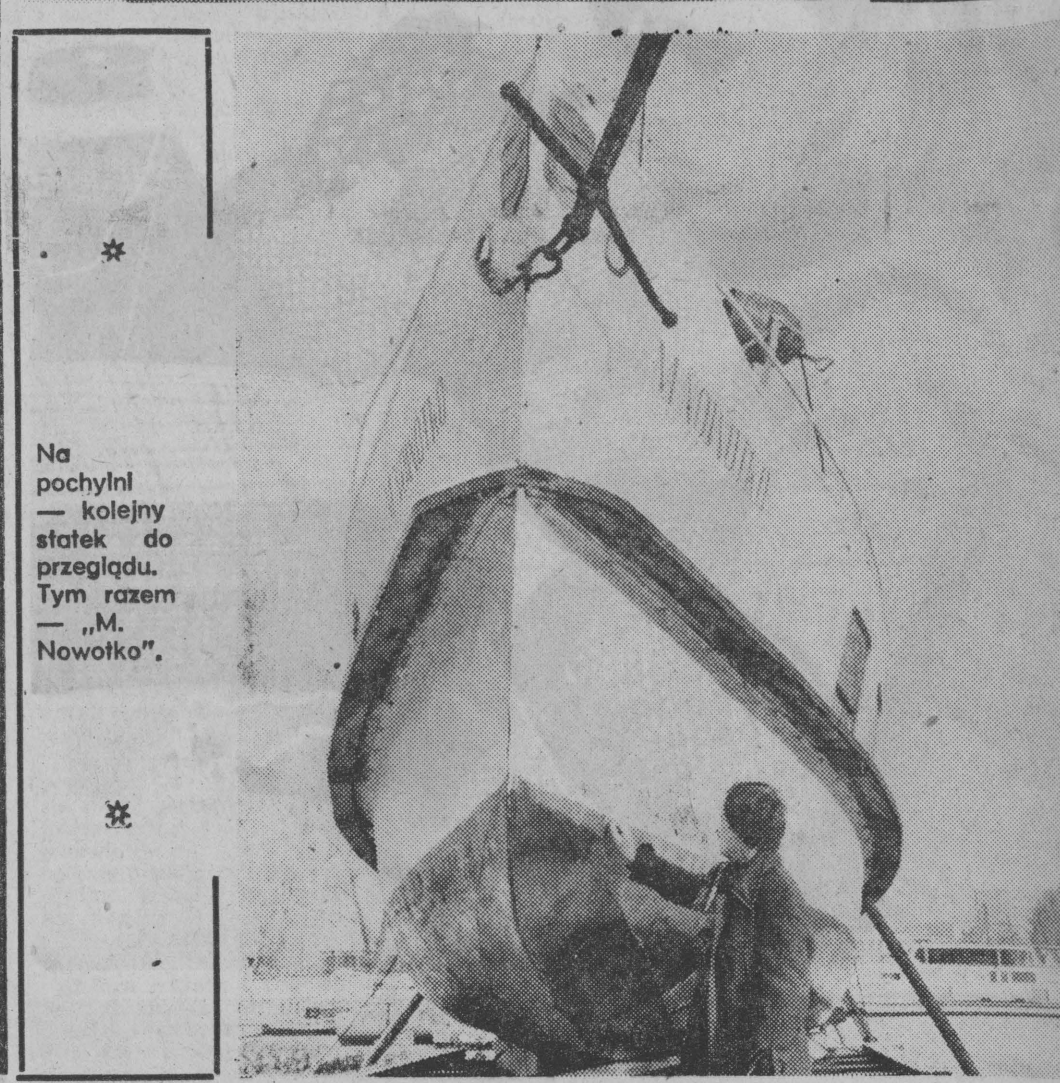
Okres jesieni i zimy, to czas na szczegółowe przeglądy i konserwację pływających jednostek. „Żegluga Mazurska” ma ich sporo pod swoją pieczę: 19 statków pasażerskich, cztery holowniki, pięć wodolotów i motorówek.

Każda z nich musi być dokładnie obejrzana, zanim spocznie na zimowych leżach. Konserwuje się podwodne części statków, przeglądów i ewentualnych napraw wymagają urządzenia napędowe, obowiązkowo zająć trzeba do silnika. Wszystkie remonty wykonywane są w zasadzie przez załogi statków. Pracownicy bazy remontowej zajmują się pracami specjalistycznymi: tokarskimi, spawalniczymi, frezerskimi. Prawie wszystkie jednostki „białej floty” przeszły już przez pochylnię, trwają jeszcze prace przy instalacjach wewnętrznych. Trzeba już teraz wszystko dobrze przygotować przed następnym sezonem nawigacyjnym. Miniony — był rekordowy pod względem ilości przewiezionych pasażerów, „Żegluga” obsłużyła w br. 512 tys. turystów. Tyle jeszcze nigdy nie skorzystało w ciągu jednego roku z jej usług. (mp)

Fot. ZDZISŁAW LENKIEWICZ



W basenie górzkiej bazy remontowej cicho już i spokojnie po zakończonym sezonie nawigacyjnym.



Na pochylni — kolejny statek do przeglądu. Tym razem — „M. Nowotko”.

W ŚWIĘTA BOŻEGO NARODZENIA...

Świątami Bożego Narodzenia Skrzat interesuje się dopiero mniej więcej od dwustu lat. I to zostało mu do dziś. Już od pierwszych dni grudnia widzi się każdego roku przed magazynami handlowymi Kopenhagi i innych miast duńskich Skrzata i... rozmnożonych w niewiarygodny sposób jego sobowtórów. Co robią? Trzeba powiedzieć, że los wyznaczył im nader prozaiczne zajęcia, trochę niegodne sławy i legendy, jaka ich dotąd otaczała: dźwigają transparenty z reklamami, sprzedają krawaty, zachwalają klientom mniej chodliwe zabawki...

A ZA ZAMIERZCHŁYCH CZASÓW...

A przecież kiedyś, w zamierzchłych



z drzewa, ale murowane, piętrowe i dwu, po prostu wille, nowoczesnie urządzone. Wysilają się co prawda ludzie niemało, pracują ponad siły, ale mają to swoje miejsce na ziemi, jakby kawałek raju.

Wszystkie narzekają, labidza, że materiałów budowlanych nie ma, o wyporządzenie wnętrza jeszcze bardziej, nachodzą, męczą naczelnika do-

chód. Zawsze latem byli kłopoty z mlekiem, bo rolnicy chłodni nie mieli i szybko kwaśniało. Teraz mleczarnia w pobliskich Monkach odbiera dwa razy dziennie. Tylko ten kłopot w lecie z udolem, że pastwisko mamy daleko, krowy tam nocują i do udoju ręcznego jeździć trzeba dwa razy dziennie.

Pod jednym względem do-

zdałam to swoje równo- uprawnienie utrzymać i nie lekko to przychodziło. Bo to akurat, gdy siedziałam na zebraniu musiał się guzik oberwać w męzowskiej marynarce. Spodnie pękły w szwie, o-biad ostygł i zaraz powód do wojny. A z chłopem to dużo nie nawojujesz. Wrócić do domu i po całym równouprawnieniu. Złaje, skrzyczy i co

W zbytku się

ny o przydziały, ale koniec końców każdy budowę ciągnie i ani się obejrzy, a już fi-ranki w oknach wiszą.

Jeszcze kilka lat temu wstecz źle widziałam mi się przyszłość naszego rolnictwa, ale teraz wiele się zmieniło. Coraz więcej młodych zostaje na roli, a są i tacy co z miast wracają na wieś. Gospodaruja jak się patrzy. U nas miasteczko w większości rolnicze. Jest u nas sporo łak i chyba najwięcej ludzi hodują bydło. Do zlewni płynię co dzień rzeka mleka. To jest podstawowy comiesięczny do-

braliśmy się z mężem jak w kory koku. Oboje mamy „żytkę” do działalności społecznej. Mój, to całe życie, ja to od lat dziesięć, kiedy dzieci dorosły. Przez wiele lat przy-wykł, że „siedzę” w domu, to kiedym się do Kola Gospodyń Wiejskich zapisała, podniosł bunt na całego. Że on to co innego, a ja to mam garnków pilnować.

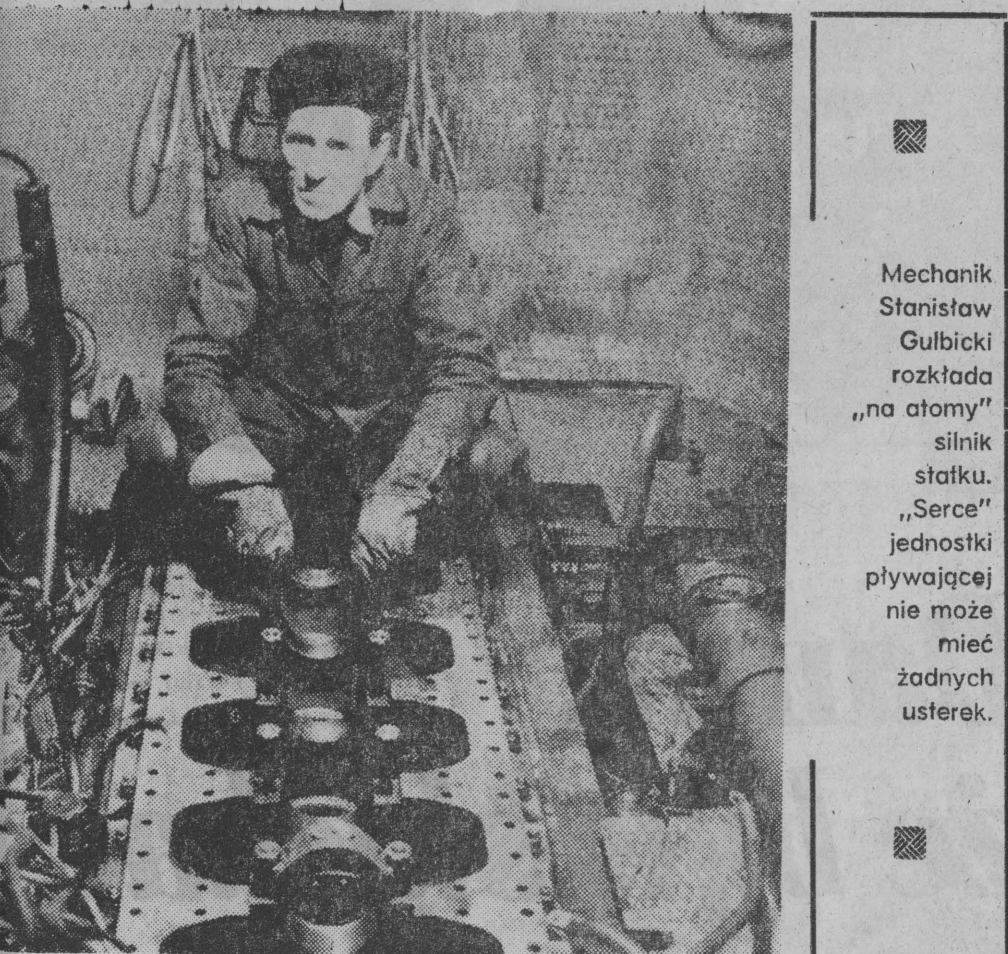
— Nie, mówię — teraz równouprawnienie, teraz i kobie-ta może coś znaczyć w społeczeństwie, nawet ta od garnków i świn.

Minęło trochę czasu zanim

mu zrobisz. Trudno się pieklić, żeby ludzie słyszeli, trzeba jednemu ustąpić. Co do Kola Gospodyń to nie powiem, mąż się przedko przekonał, bo kurczaki sprowadziliśmy co roku z wylegarni, to jacek w domu nie brakło, a gdy zaczęłam, przyczyniwszy się na kurczaki, robić waki, saltki, dostalam folię na namiot, to się już całkiem odpuścił. Ale z innymi sprawami to nie poszło mi tak łatwo.

Od Kola Gospodyń to się zaczęło. Potem chciesz nie chciesz, wciągną człowieka w różne sprawy społeczne że się

„Białej floty”



Mechanik Stanisław Gulbicki rozkłada „na atomy” silnik statku. „Serce” jednostki pływającej nie może mieć żadnych usterek.



Pańskie oko konia tuczy — kapitan statku „Taffy”, Jan Magura osobiście dogląda konserwacji.



wyczołgać nie sposób. I potem te zebrań, te zjazdów, te narad, a tu czasu choć ukradkiem komu, wiecznym brakuje. Siedzi człowiek na zebraniu jak na igłach, co tam w domu bez mnie, a wyjęcie wcześniej nie wypada, bo widać pomyślał, że człowiek lekceważy. Do ludzi, wiadomo, nie wyjdzieś tak jak w domu, nie

nie kocham

wypada, pomyślał, że szłapa jaś przysłała, nie gospodyni, trzeba się szorować, cesać, niż lepszego na siebie włożyć. Skoda, że nie urodziłam się mężczyzną, bo lubię męskie rzeczy, a już najgorzej nie lubię doprowadzania do jakiegoś takiego wyglądu, swojego wyglądu. Zresztą niewiele tam na to czasu. Nie interesuje mnie moda nie tylko teraz, kiedy jestem starsza, ale i z młodości nie było inaczej. Widać, że to stała wada kobiety, a nie wada. Kobiety powinny o siebie dbać choćby z tej racji.

Jego rodzice, poza bułgarskim, nie znali żadnego obcego języka, nie jest absolwentem filologii, nigdy nie mieszkał za granicą, a widać... 40 językami. Tym człowiekiem jest mieszkaniec Sofii — Swetosław Kolew, jeden z członków Związku Bułgarskich Tłumaczy, z wykształcenia prawnik, filozof i ekonomista.

Spotkałem Kolewka na międzynarodowej konferencji tłumaczy, która niedawno odbyła się w stolicy Bułgarii. W wielogłosnej gwarze toczyliśmy rozmowę po polsku.

W pewnym momencie na chwilę przerwał nam ją jakiś czarnoskóry dżentelmen, który serdecznie przywitał Kolewka, zapytał go o coś w języku, którego nigdy nie słyszałem.

— Po jakimś pan rozmawiał — zapytałem, gdy zostaliśmy sami.

— Po afrykańsku — padła odpowiedź.

— Nie wiedziałem, że taki język w ogóle istnieje...

— Ależ istnieje — „afrykaner”, to oficjalny język południa Afryki.

11 PERFECT, A 30 INNYCH?

Władca dobrze jakimś językiem, to znaczy nie tylko może się nim porozumiewać, ale i przekładać z niego, pisać artykuły, książki — powiedział mi Kolew. W tym znaczeniu najlepiej władam francuskim, niemieckim, angielskim, hiszpańskim, włoskim, rosyjskim, norweskim, portugalskim, mołdawskim, fińskim i islandzkim.

Na chwilę mnie zamurowało — bądź co bądź to 11 języków.

A mój rozmówca kontynuował — z pozostałych 30 języków jestem w stanie tylko przekładać.

— Czy rzeczywiście tylko?

— Przecież z mną rozmawia pan po polsku.

— Ech, taka rozmowa — zaczął się Kolew. Przecież słyszy pan jak kaleczy wasz język...

POLSKI Z... FRANCUSKIEGO PODRĘCZNIKA!

Kaleczy rzeczywiście, lecz przekłada podobno znakomicie. Ma „na koncie” jedno z opowiadań Jarosława I-waszkiewicza, fragmenty,

O człowieku, który zna... 40 języków

prozy Jerzego Putramenta, książki naszych zegarmistrzów, samotników, satyr Osej i Marianowicza. A w swej bibliotece — kilkadziesiąt najlepszych dzieł polskiej literatury.

— A w jaki sposób nauczy się pan polskiego? Nauczyłem się z podręcznika waszego języka, wydanego we... Francji. Swoją drogą szkoda, że nie macie własnego dobrego podręcznika z tasmami...

— Ponoć odkrywa Trol, sławny Schliemann uczył się każdego języka nie wie-

Pocztówka z Caracas

Komputer zastąpi flirt?

Supernowoczesna pod względem swej pięknej architektury stolica Wenezueli może już konkurować z niektórymi metropoliami świata nie tylko w zakresie wspaniałego budownictwa, ale także na polu zastosowania przeróżnych zdobyczy techniki w codziennym życiu.

Oto właśnie w połowie listopada uruchomiono w Caracas swego rodzaju biuro matrymonialne, daleko odbiegające od tradycyjnych takich ośrodków kalendarza par. Działło ono bowiem w oparciu o najnowocześniejszą technikę...

CZŁOWIEK JEST OMYLNY, A KOMPUTER...

Założyciele biura spędzili ponad pół roku na opracowaniu i zastosowaniu w

cej niż 6 tygodni. A pan?

— Tak szybko to mi nie idzie, do tego potrzebny był geniusz Schliemanna. Wykorzystuję najrozmaitsze metody. Islandzkiego nauczyłem się ze słowników i duńskiego podręcznika. Katalońskiego i baskijskiego — z hiszpańskiego, a „afrykanera” — z podręcznika, wydanego w Holandii. Niewątpliwie najłatwiej można się nauczyć włoskiego i hiszpańskiego.

— Jaki język uważam za najtrudniejszy? — spośród europejskich z pewnością fiński, węgierski i irlandzki. Język fiński ma np. 15 przypadków i żadnych związków z innymi językami. W węgierskim nie ma przypadków, ale za to gramatyka jest strasznie trudna. Skomplikowana jest i gramatyka języka Basków.

— Wasz język też nie należy do najłatwiejszych i przy przekładach z niego łatwo wpasć „na mieliznę”. Trzeba bardzo uważać, by zachować wewnętrzną harmonię polskiego języka. Ale za to co za przyjemność móc czytać polskie dzieła w oryginale. To nie czczy komplement. Wasza literatura jest jedną w krajach słowiańskich, mająca tak ściśle związki z wielką światową literaturą.

— Czy trudno być politologiem? — Ależ nie, potrzeba nieco wytrwałości, no i dobrej pamięci. Z każdego języka trzeba zapamiętać ok. 3 tys. słów, a jeśli chce się być dobrym tłumaczem — to 5 tys.

Wyobraźcie sobie, drodzy czytelnicy, ile razy po 8 tys. słów zapamiętał Swetosław Kolew...

MACIEJ PĘDZICH (Sofia PAP)

„ZMECHANIZOWANA” MIŁOŚĆ

Sami organizatorzy biura przynajmniej jednak, iż człowiek jest omylny, a komputer w zasadzie nie ma prawa się mylić, zaprosili oni wszystkich chętnych do skorzystania z ich usług, z góry przestrzegając, że o ich losach nie będzie decydować żaden człowiek, lecz właśnie komputer.

Oczywiście, sama metoda jest dosyć prosta. Polega ona na przedstawieniu amatorom tej nowinki pokazowego kwestionariusza, obejmującego najrozmaitsze pytania. Dzielą się one na dwie części. Każdy zainteresowany odpowiada zarówno na pytania dotyczące poszukiwanej partnerki czy partnera, jak i drobiazgowo wyjaśnia własną osobowość.

Począwszy od takich szczegółów, jak wiek, wygląd zewnętrzny, poprzez zainteresowania, wykształcenie, poczucie humoru itp., aż po samokrytyczne wyznaczenie własnych wad, poziomu inteligencji, sympatii politycznych itp.

RYSZARD GINAŁSKI (Caracas — PAP)

Wszystkie statki „białej floty” „zapadły” w zimowy sen. Do wiosny, kiedy znowu wypłyną na wody Wielkich Jezior Mazurskich, pozostaną wszak jeszcze sporo czasu.

Coś do podlizania czyli strucla z makiem

Staropolska Wigilia mogła być z sianem pod obrus, albo bez, z karpim, śledziem albo pospolitą piótką, z łańcuchem opasującym stół (aby się na nim chleb przez resztę roku trzymał) albo bez niego, ze sнопami z bóża w kątach jadającego pokój lub bez sнопów, ale jedno na Wigilię musiało być obowiązkowo: strucla. Nikt już właściwie nie pamięta dlaczego. Może dlatego, że miod używany niegdyś do stodenia symbolizował dostatek, może mak użyty do ciasta miał sprawić aby się w nadchodzącym roku — wszystko w gospodarstwie nadzwyczajnie mnożyło? Możliwe, bo nie ulega wątpliwości, że nasza Wigilia wraz z tradycyjnymi potrawami, wózbami i zwyczajami jest prastarym świętem ludu rolniczego, jakim bez wątpienia byli nie tylko Słowianie ale i w ogóle Indoeuropejczycy, z których się wywodzą wszystkie niemal ludy współczesnej Europy.

Dlatego też wyprawiano różne dary ze struclami. W różnych epokach dochodziło do wynaturzeń, dziwactw bardziej sobie ceniono niż samą tradycję.

Blisko 300 lat temu, w roku 1681 piekarz króla Jana Sobieskiego, niejaki Józef Smolinski, upiekł struclę jakiejś przedtem nikt w Rzeczypospolitej nie widział. „Dziwotwórstwo to ściągnięto całe miasto do oglądania. Na struclę bowiem z migdałów, rodzynek i innych różnych bakalii piekarz tak ułożył wzór, że królów Maryi Kazimiry, iż uważano to jako włoskie doskonałe malowidło albo najwspanialszą mozaikę florencką — pisał kronikarz. — Król i królowa, uradowani takim prezentem, oddali Smolinskiego znaczną kwotą pieniędzy, za którą pocztowy piekarz z różnych gospodyń zakupił struclę i rozdawał je ubogim”.

Jak widać w XVII wieku nie tylko mecenasi byli hojni, ale i mistrzowie eklektycznego kunsztu — bardziej łasi na honory i sławę niż na forsy, choć mamy prawo się domyślać, iż Jan III wypłacił premię w srebro, walucie a nie np. w dewaluujących się dolarach, bo ich po prostu jeszcze nie było.

W trzydziści lat później inny piekarz warszawski także postanowił podliznąć się, już nie królom ale burmistrzowi. W tym celu upiekł struclę, która wprawiała w podziw rozmaitością. Do domu burmistrza niosła ją na ramionach czterech piekarzyków „chędogo odzianych”, jak zaznacza kronikarz, co wydaje się nie najlepiej świadczyć o sposobie ubierania się piekarzyków w ogóle.

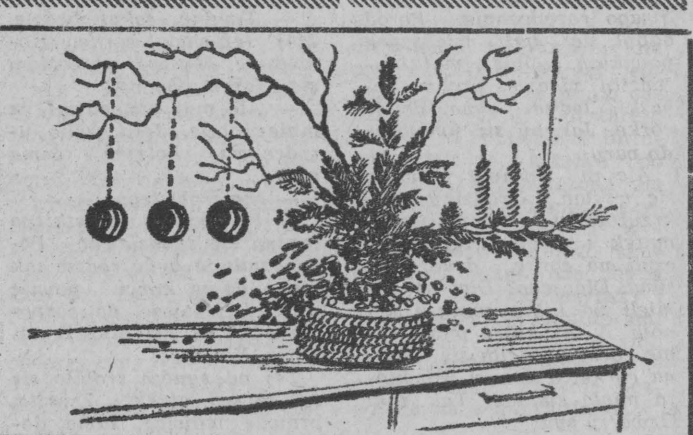
„Gdy przyniesiono tę struclę do mieszkania burmistrza — czytamy w notatce kronikarskiej — pan majster uczynił przemowę od wszystkich piekarzy warszawskich, poczem prosił pani domu, aby odkryła wierzch strucli. Aż tu z podziwieniem wszystkich wyszedł z niej pięcioletni synek piekarza i zaczął śpiewać kolendę. Zaproszono wielu obywateli dla widzenia tego majstersztyku — kontynuuje kronikarz — który stał u burmistrza przez całe święta, a potem odesłano go do szpitala S-go Ducha dla spożycia”.

Zwracając uwagę na fakt, iż już na początku XVIII stulecia w niektórych rodzinach zdarzały się cudowne dzieci (których liczba od tamtej pory systematycznie rosła, aby osiągnąć w naszych czasach apogeum) zwracam też uwagę, że tradycja karmienia chorych wieloletniowym pieczywem datuje się w naszych szpitalach od czasów, gdy po szpitalu powstało przysłowie „Za króla Sasa jedz, pić i popuszczaj pas”.

W parę miesięcy po objęciu władzy przez ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta, warszawski piekarz ofiarował mu struclę — symbol. Miała ona 7 łokci długości (dokładnie polski wykonany w 1784 r. miał 595,5 mm) na pamiętkę, że elekcja króla odbyła się 7 września. Makę na to pieczywo brano z 17 młynów warszawskich, albowiem król urodził się 17 stycznia. Dodano do tej strucli 32 przyprawy tj. tyle, ile lat miał król wstępując na tron. Gigantyczny ten zawias z makiem niosła na ramionach 9 dzieci piekarza. Dlaczego — jest to kwestia sporna. Jedni utrzymują, że na pamiętkę, iż elekcja odbyła się we wrześniu będącym 9 miesiącem w roku; inni są zdania, że piekarz po prostu nie miał więcej dzieci. Tym gorzej dla nas. Może gdyby było inaczej ród owego piekarza dotrwałby do naszych czasów i jego przedstawiciele piekliby jeśli już nie struclę-giganty, od święta to przynajmniej „zjadliwie” pieczywo w dni zwykłe, a zwłaszcza w piątki poprzedzające tzw. wolne soboty.

I tak oto, ani się spostrzegłszy, doszliśmy do współczesności. Dziś nikt się nikomu nie podlizuje z pomocą gigantycznych strucli. A szkoda, byłoby przynajmniej widać kto i komu.

R. KRAŚKO



ską, oczywiście. Podkustio mnie, aby w kole Gospodyni Większych zespół artystyczny utworzyć, no niby nie wielkiego. W telewizji występy kobiet w strojach ludowych pięknie śpiewają, to sobie pomyślałam, że co to, my gorzej? Spróbujemy. Kobiety chętnie, nie powiem, przystały. No i zespół powstał. Same kobiety, żeby nie było podejrzeń, że w innym celu. Weszło nam było. Zbieramy się, bywało, w zimowe długie wieczory, nie za często, oczywiście, raz w tygodniu, na godzinę, najwyżej dwie, pośpiewamy sobie stare ludowe pieśni, pogadamy o dawnych czasach, powspominamy.

Póki siedzieliśmy w swojej świetlicy, to jakoś cicho było. Ale kiedyś tylko wytknęły nos na świat, gdy tu i tam nas zaproszono, gdy usłyszeli nas w radiu, dopiero się rozpetala burza językowa. Przyjeżdżano nam latki na każdym kroku. „Artystyki Spalonego Teatru” — słyszało się nieraz za plecami. Najwięcej, wiadomo, szurzyły się chłopy. Pożalaly nas baby, zamiast mężów, dzieci i wnuków pilnować — gadano — marnują czas i domu się nie trzymają. Różne nawet sprośności wygadawali, co nam w myśl nie powstało. A najwięcej mnie się dostało. Główną winowajczynią byłam. Patrząc próbę polowa przyszła, gdzie reszta? — pytam — ano me-

szła jesień i sobaczyle jakie piękne buraki urosły i dziwowały się wtedy. A inne to wybierały się do kęsedza na skargę, że małżeństa rozbijam, kobiety bunтую.

Dziś wiele się zmieniło, spotyka nas zryczyłość ludzka, mężowie po trosze uwiaryli, że żadnych złych rzeczy nie robimy, stare kobiety przychodzi do nas z pieśniami, które sobie przypominamy. Cieszą się, bardzo się cieszą, że się na coś przydałam i moje nie-wielkie umiejętności. Mam wielkie plany i zamiary, ale sama nie jestem w stanie ich zrealizować, potrzebny jest ktoś, który całą duszą oddał się sprawom kultury.

Jeśli chodzi o kulturę, to nie tylko śpiewanie mam na myśli. Jest wiele spraw z którymi jedna osoba nie poradzi, tylko musi zadziałać społeczeństwo i zryczyłość ludzka. Mam na myśli pijaństwo. Nie będę nad tym się rozwodzić, bo wiele się na ten temat mówi. Tak dużo się mówi, ale mało się robi.

Właściwie to pijacy są w naszym kraju bezkarni. Wielu się nawet nad nimi lituje, że to nieszczęśliwi ludzie, chorzy itd. Z takimi poglądami się nie zgadzam. To są zło-dzieje domowi, na których nie ma kary.

Myślę oczywiście o nalo-gowych alkoholikach, bo jeśli

ktos tam czasem wypije so-cybie od święta czy uroczystości rodzinnych, to nie liczy się pi-jakiem.

A już nie wiem jak można karać pijaków karą pieniężną. To nie pijak, ale jego żona i dzieci są ukarane. To im są jeszcze bardziej uszczuplane środki do życia. Pijak zawsze na wódkę pieniądze znajduje.

Powinno się myśleć nad tym, jakie kary stosować pi-jakom, aby nie krzywdzić ich rodzin. Czy zatrudniać przy-musowo i wynagrodzenie w znacznej części oddawać ro-dzinie, czy ustawiać zmusić do leczenia, bez udziału żon, któ-rym niełatwo takie decyzje podejmować.

Kilka lat temu pewien ro-botnik za budyw piakie zos-tał ukarany grzywną w wy-sokości 4.500 zł. To było w naszej miejscowości. Zna nie pracowała, czworo niedużych dzieci. Nie było z czego za-plać. Sprzedała kobieta świ-niaka, którego dla siebie ucho-wała i zapłaciła. Jakaż to spra-wiedliwość? Jest wielu ludzi mądrych w Polsce, niech myś-lą nad tym, co zrobić.

Zauważyłam bardzo — zna-mienną rzecz jeśli chodzi o kulturę bycia. Odkąd rolnic-two zaczęło się mechanizować, to nie tylko wpłynęło to na ułatwienie pracy, wyższą pro-dukcję, ale i bezpośrednio na kulturę. Bo gdy chłopci pra-co-wali kochali, to że było z ta

kultura. Także nieraz przy pra-cy związani wysyłali pod adresem swoich zwierzęcych po-mocników, że uszy wiedły. Konie, jak konie, różne by-wają, i uparte, i narowiste, to prawda. Czasem wypro-wadziłyby i świętego z cierpli-wością. A przy tym to świšta-nie batem. Słuchać było przy-kro. A potem to wchodził w nałóg. Jak na konia, to i na krowę spynie „lacią”, że to niby lepiej rozumieć, a jak na krowę, to i na żonę w zde-nierwowaniu, bo tak z przy-zwyczajenia. A kobieta to bar-dzo jest czuła na słowa, o j bardzo. Czasem gdyby pieś-nią któryś dzielił, nie tak by bolało, jak słowo ostre jak uderzenie batem, obrzydliwe. A teraz nasze chłopy to jak-by odmienione. Siadają na ciagniki, jadą, poważnie, w skupieniu, nie ma sensu ge-by otwierać, bo maszyna nie ro-zumie.

Tak, tak, czasy się zmienia-ją i to więcej na dobre niż na złe. A telewizja też swoje robi. Napatrzą się ludzie wszystkiego, ale tej kultury też się trochę nauczą i nie-jeden doceni wtedy swoją żo-nę. Może się doczekamy, że mężowie będą do nas się od-nośnić tak jak w pierwszo-lata po ślubie.

ELŻBIETA DANISZWSKA

Byłem ostatnio świadkiem obrad gremium, które z racji swojego statusu ma decydujący wpływ na wszystkie dziedziny życia w mieście wojewódzkim Suwałki. A więc także i na szeroko pojęte życie kulturalne miasta, które to właśnie było przedmiotem obrad i — wyjaśnijmy to od razu — bardzo ciekawej i jak to się zwykło mówić, konstruktywnej dyskusji.

Podczas obrad padło słuszne stwierdzenie, że o poziomie i rozwoju kultury decydują takie podstawowe czynniki, jak baza materialna, kadra specjalistów, społeczne zapotrzebowanie na kulturę i aktywny udział w jej

obsługiwaniu całe województwo. Hala OSIR będąca reprezentacyjną salą widowiskową miasta, absolutnie nie jest przystosowana do pełnienia tej funkcji. Kino „Kultura” odstrasza kinomanów niechlujnością. Wystawianie tam spektakli tea-

niki, że kultura jest równie ważna co dach nad głową? Nie sądzę też, by osiedlowy dom kultury wyszedł zwycięsko w starciu z osiedlowym sklepem spożywczym.

Kadra — można powiedzieć — okrzepła, zdobyła doświadczenie. Najlepsi pogłębiają wiedzę, zdobywają kwalifikacje. Sytuację poprawia absolwenci uczelni artystycznych, którzy w tym mieście, mającym perspektywy szybkiego rozwoju, znajdują szansę na twórczą działalność. Zachętą do przyjazdu i osiedlania się twórców na stałe w Suwałkach będą nie tylko piękna natura i świeże powietrze, ale przede wszystkim mieszkanie.

O kadry — sceptycznie. Animatorzy kultury z czasów powiatowych, na których spadły wielokrotnie większe obowiązki, nie są w stanie dotrzymać kroku lawinowo rosnącemu potrzebom. Doświadczenia wykażą, że absolwenci uczelni wcale nie kwapią się do osiedlania się w Suwałkach, które ciągle jeszcze nie są konkurencyjne w stosunku do innych ośrodków. Zapaleńców zaś trudno znaleźć, przynajmniej w liczbie wystarczającej. Ci zresztą też mają żony, które z natury praktyczniejsze, wytykają brak w Suwałkach nie tylko środowiska kulturalnego, ale także usług, sklepów, dobrej komunikacji miejskiej itp. Środowiska twórcze — to tylko plastycy — w większości jeszcze młodzi i na dorobku. Trudno także

mówić obecnie o długofalowym planie „pozyskiwania” absolwentów wyższych uczelni. Zachęta w postaci mieszkania — tu także można mieć spore obawy. Na miejscu władz miejskich też miałbym wątpliwości, czy dać mieszkaniec dobre mu inżynierowi, czy np. absolwentowi pedagogiki kulturalnej, z którego nie wiadomo jeszcze w dodatku — co wyróżnia?

Spółeczne zapotrzebowanie na uczestnictwo w kulturze: optymistycznie brzmi stwierdzenie, że potrzeby społeczeństwa Suwałk na kulturę w dobrym wydaniu rosną i to gwałtownie. Piszę o optymizmie, bo w gruncie rzeczy przeciętne o to chodzi. Dlatego też cieszą się, że czas skończyć z estradową chałturą fundowaną przez rady zakładowe. Cieszą się też, że na ostatni spektakl Teatru Ziemi Łódzkiej

Rozmach czy dreptanie

przyswajaniu oraz tworzeniu.

Spójrzcie na bazę optymistycznie: W ciągu niespełna pięciu lat było powiatowe placówki — dom kultury, biblioteka, muzeum — nabrały charakteru wojewódzkiego. Skorzystało na tym także samo miasto. Powstało, prężnie działające, Biuro Wystaw Artystycznych, które już gościło tej miary twórców co Strumiłło, Bardyszak, Słonina, Chmielewski — a więc artystów, którzy wystawiają swoje dzieła w najbardziej renomowanych galeriach kraju.

Są też realne szanse na to, że do 1983 roku miasto otrzyma salę widowiskową z prawdziwego zdarzenia, gdzie będą mogły dawać spektakle teatralne różne zespoły. Powstaną ośrodki kultury osiedlowej.

Spójrzcie sceptycznie: Zamiana instytucji kulturalnych z powiatowych na wojewódzkie była najprostszym zabiegiem — wystarczyło zamienić szyldy. Przez prawie pięć lat nie przybyło ani jednego metra kwadratowego muzeum, biblioteki, domu kultury. Przybyło natomiast obowiązków, musza bowiem owe placówki

traktować, bo brak jakichkolwiek innych warunków, to po prostu konieczność. Pozostaje salon wystawowy BWA, gdzie już odbywają się kameralne koncerty muzyczne. I tylko takie mogą być, bo sala jest mała.

Mówi się o tym, że w 1983 roku będzie nowa sala, odpowiadająca wszystkim wymaganiom, dzięki modernizacji klubu „Suwalszczyna” i kina „Kultura”. Ale trudno u wierzyć, że w ciągu trzech lat wszystko zostanie zrealizowane. Tym bardziej, że już są opóźnienia w sporządzeniu dokumentacji, a co gorsze dotychczas nie wiadomo, kto będzie wykonawcą tych robót. Jeśli idzie o osiedlowe ośrodki kultury to norma przewiduje 800 m kwadrat, „powierzchni kulturalnej” na każde 10 tys. mieszkańców. Tymczasem spółdzielnia mieszkaniowa dysponuje rantem jedną świetlicą o powierzchni 44 m kwadrat. Kto zdoła więc przekonać odpowiednie czyn-

ców na stałe w Suwałkach będą nie tylko piękna natura i świeże powietrze, ale przede wszystkim mieszkanie.

O kadry — sceptycznie. Animatorzy kultury z czasów powiatowych, na których spadły wielokrotnie większe obowiązki, nie są w stanie dotrzymać kroku lawinowo rosnącemu potrzebom. Doświadczenia wykażą, że absolwenci uczelni wcale nie kwapią się do osiedlania się w Suwałkach, które ciągle jeszcze nie są konkurencyjne w stosunku do innych ośrodków. Zapaleńców zaś trudno znaleźć, przynajmniej w liczbie wystarczającej. Ci zresztą też mają żony, które z natury praktyczniejsze, wytykają brak w Suwałkach nie tylko środowiska kulturalnego, ale także usług, sklepów, dobrej komunikacji miejskiej itp. Środowiska twórcze — to tylko plastycy — w większości jeszcze młodzi i na dorobku. Trudno także

aż 50 (pięćdziesiąt) osób przyszło za pieniądze własne, a nie rad zakładowych. Na poprzednim spektaklu kupowało bilety paręnaście osób, jest więc postęp. Wreszcie tu sięgnę do doświadczeń bardziej osobistych, przed dwoma laty na film Wajdy „Człowiek z marmuru” przyszło na wieczorny seans siedemnaście osób. Dwa tygodnie wcześniej, będąc jeszcze w Warszawie płaciłem (i byłem zadowolony) za bilet na ten film 200 złotych. Na „Amatora” Kieślowskiego, choć to jeszcze nie tej klasy reżyser i nie suwalszczanin, przyszła już połowa sali. Znowu postęp.

Ale i tu znowu zaczyna się — wątpliwości. Czy rzeczywiście można już mówić o potrzebie kultury w wymiarze ogólniejszym? Czy te pięćdziesiąt osób to dużo czy mało? A może — tu znowu wątpliwość — ludzie, którzy zwykle chodzą do

Ciąg dalszy na str. 9.

Wzięte z życia i snu

Niedawno odwiedziłem jedno z miast. Od razu dało się wyczuć, że coś wisi w powietrzu. Ale co?

— To pan jeszcze nie słyszał?

— Ale co takiego?

— No, z tymi niemowlakami?

— Niemowlakami? Gdzie, czyżby?

— W naszym szpitalu. Wszyscy teraz o nich w mieście głośno mówią.

— Nie, nie słyszałem. Proszę opowiedzieć.

I zamieniłem się w słuch. A moi rozmówcy z ogromnym przejęciem snuli opowieść, jako żywo przypominającą sentymentalny moralitet.

A było tak.

W miejscowym szpitalu na oddziale położniczym leżały dwie wiejskie kobiety, spodziewające się szczęśliwego rozwiązania. Poród odbył się bez większych powikłań. Obe matki urodziły zdrowe, uroczyste bobasiki. Jedną syna, drugą córkę. Jak by się umówiły, do pary.

Ale tu sprawy zaczęły się wicknąć. Urodziny pokrzyżowały oczekiwania matek i obojga. Pierwsza li-czyła na córkę, drugą na syna. Dlaczego? Dlatego, że mieli po kilka córek i synów. A tej, która miała same córki urodziła się kolejna córka, a znowu tej, która miała synów... Tak, tak! Czwartym syn!

Los sprawił, że obydwie zajmowały w szpitalu są-

siadujące z sobą łóżka. Gwałtownie, jak kobiety, i ich jednokrotne zmartwienia szybko wyszły na jaw.

Ta od ośmiu córek biadoliła:

— Jak teraz pokaże się mężowi na oczu?

Mamo, weź mnie z sobą!

— Trudno, jakoś będzie. Mój też chciał córkę. Koniecznie. Wyszedł syn. Musi się z losem pogodzić.

— Ale mój powiedział, że mnie zabije. Jeśli tylko urodzę mu kolejną, ósmą córkę...

— Nie robi tego.

— Po nim wszystkiego można się spodziewać. Powiedział, że będę rodzić tak długo aż w końcu powię syna. Dziecina na gospodarce. A ja już dłużni nie mogę. Nie chce!

Tej od synów zrobiło się żal tej od córek. Zresztą, prawdę mówiąc, sama dobrze nie wiedziała, jak przyjmie ją w domu mąż

z kolejnym, czwartym synem. Przecież marzył o córce. Jak tamten o synu. Powoli dojrzewała zbawienna myśl: zamienić za obopólną zgodą dzieciaki. Ta od córek weźmie syna tej od synów, a ta od synów córkę od tej od córek.

Wiaćmniczy w zamiar sympatyczne siostrzyczki, które w końcu dały się ubiagać. Zamienili na „betkach” kolorowe wstążeczki. Zadovolone z porozumienia rodzicielski wkrótce zasnęły kamiennym snem.

Tej od córek śniło się, że szła kładką po rzeczce, przepływającej przez jej rodzinną wieś. Raptem zza krzaków wyszła córeczka, którą niedawno powita. Zabięła jej drogę i rzuciła na szyję. Wolala cała w spazmach:

— Mamusi, zabierz mnie z sobą do domu. Bardzo cię o to proszę. Bardzo...

Wzięła dziecko na ręce,

zamieszkała do domu. Ale córeczka jakoś nie mogła się uspokoić. Mocno obejmowała ją za szyję, przytulała całym ciałem matczyne łono.

— Przysięgnij, mamusi, że nikomu już mnie nie oddasz! Przysięgnij?

— Nie, córeczko, za żadne skarby. Nigdy. Tyś moja, tylko moja.

Obudziła się rankiem całkiem spokojna.

— Nic z tego — powiedziała do sąsiadki, tej od synów.

— Z czego?

— Zabieram córeczkę do domu.

— A umowa?

— Pal licha umowę.

— Hala, hala, droga pani. Ja mojej córeczki nikomu nie oddam.

— Jakiej swojej? Przecież ona moja.

— Nie, moja. Proszę sprawdzić wstążeczki i nazwiska. Syn jest twój, córka moja. Inaczej być nie może.

Ale, na szczęście, w szpitalu akurat znajdował się koronny świadek w sporze. Lekarz. Ten co przyjmował od obydwóch kobiet niemowlęta. A ponieważ miał dobrą pamięć, szybko rozpoznał położnicę, od której przyjmował syna, a także drugą, rodzicielkę córki. Maleństwa wkrótce powróciły do prawowitych rodziców.

Opuszczając szpital, obydwie kobiety nie czuły do siebie większej urazy.

— Pal licha mężów.

— Niech się wściekają. Grunt, że mamy swoje dzieci.

Właśnie.

(St. Stw.)

BOLESŁAW OLBRYŚ
to Kurp z krwi i kości. Od ponad 50 lat związany jest z nowogrodzkim skansenem. Mieszka z żoną w Dębnie, woj. łódzkie. Mieszkają sami bo „dzieci rozjechały się precz. A spodobane są. Mają swoje rodziny i tylko na letnisko przyjeżdżają od czasu do czasu. Żadne nie chciało zostać w rodzinnym domu. Bo i po co? Pisków niespełna dwa hektary a i ze zbierania grzybów wyżyć nie podobna. Ale różnego drzewa to tu gromada”.

Jak na Kurpię ze skraju Puszczy Zielonej przystało, pan Bolesław majsterkuje i dłużej sobie różne rzeczy. Co prawda coraz bardziej stylizowane bo „Cepelia” narzuca wzory i lubi długie serie. A przy tym dobrze płaci. Pan Olbryś stara się nie ulegać cepeliowskiej twórczości ludowej i od czasu do czasu robi coś sobie, dla przyjemności.

Tak mówi o sobie i swojej pracy.

— Ojciec mój był majsterem. Gospodarstwa miał trochę. Robił kółka, te wrzecionka, to stoły, łózka, komody i safy. Pochodził aż z Płoszyc, a w Przeczniku żył. Przecznik leży za Laskami i Dłużewem. Mam do tego, co ojciec robił, chęć. Ligawy to już przed wojną robił, miałem pewnie jakieś 18 lat. Z tym Adamem Chętnikiem po występkach jakim jeździł. Tamoj i mnie poinformował jak też skrzypce robić. Ligawy do tej pory robie tak



Dołbiera się trzyletne, czteroletne dróżki takie to odnogi to już سکوں nie mają.



Nadejście wieczór Państwo Olbryśowie wspólnie przygotowują wieczerzą dla siebie i dla dobytku.



Wychodził ja na dwór przed sieni wykrecał się w którą stronę była najbliższa wieś i trąbił na niej...

Dawał, że było słychać, aż w muzeum...

samo, tylko przed tem byli okrócone sznurkiem, które kobiety przędzy na kółkach. A robię t. z wierzb, osiny i lipy. Miękkie drzewo musi być. Gdy byłem po Polsce z zespołem to drudzy mówią, że robią ze świerku. Ale musi być z lekkiego drzewa bo inaczej by nie udrżywał. Dobiera się trzyletne, czteroletne dróżki, takie to odnogi już سکوں nie mają. Wygina się to w prasie, hebluje, rozbija klinami i rozparza w gorącej wodzie. Drugie się rozciąga i wydubuje wnętrze. Okraca się sznurkiem raz przy razie zaczynając od końca cienkiego. Ustnik daje się na końcu. W środku jak się wy-mazało żywicą to miało lepsze echo. Kiedyś przeważnie ligawy po ciałach Kurpiach

robili. Teraz to już wyjątek, jesce jeden robi w Czarotolu, też dla cepeli. Ja też pare roków wstecz temu robiułem jakieś 100 sztuk ligaw dla cepeli. Onegdaj kto tam u-miał to zrobić drugi przyszedł zamówić. Było potrzebne na te granie w adwentcie. Wychodził na dwór przed sieni wykrecał się w którą stronę była najbliższa wieś i trąbił. Jesce ro wojnie jakim zatrąbił to Świdzki w muzeum co jest, to mówił: „ales dawał”, bo było słychać aż tu, a wiecór był cichutki, echo szło.

Obecnie robię świecznik z czarnego dębu na 17 żarówek. Na zamówienie dla Urzędu Wojewódzkiego. W zeszłym roku miałem zrobić i nie zrobiłem. Latos trzeba skończyć.

Zone poznałem w 32-im, pochodził zaraz po sąsiedzkim tam zza szosy, rodzaczka ona z Wyk, zaraz koło Gawrych. Kobieta moja dużo pamięta jesce z młodych lat tych piosenek. Ja samouk, nie ucyl się nigdzie, ni nut nie znam żadnych i dzisiaj co gramy bo też mamy ten zespół w muzeum w Nowogrodzie, co są te muzykanci, tamuj te skrzypce i beb-nista i na klarncie, wszystko nut nie znają.

Zebym ja je wszystkich pamiętała co ja je umiałam — mówi pani Olbryśowa. — Ba je je zapisuje, ale kiedy nie pamiętam, czasem pódę na grzyby to mi się przypomni. Mamusia nasza to nie śpiewała. Tylko jak przyjechała z Ameryki, bo miała 15 lat, jak pójchała za chlebem pśed pierwszą wojną. Założona bylam w Ameryce, a urodziłam się w Wykach. Na Boze Narodzenie śpiewała. Kurpie taką tam prócz, to ja nie wiem, czy w kantarzach to było. Chodzili i śpiewali: zarzęnicie wie-przka wszyscy o tym wemy a my stąd nie pódziem aż kielbaske zjemy.

Tekst i fot.

GABOR LORINCZY

Festiwal młodych

O jakości przeobrażeń w naszym regionie — jeśli chodzi o kulturę muzyczną — świadczy prowadzona od trzech lat współpraca Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego z Krajowym Biurem Koncertowym, w wyniku której mieszkańcy województwa wysłuchali dotąd ponad stu koncertów w wykonaniu czołowych polskich artystów muzyki. W koncertach tych najczęstszą rolę udział młodzi muzycy, którzy nie zdobyli sobie jeszcze popularności gwarantującej filharmoniom pełną kasę, zdążyli wszelako przywieźć do kraju nie raz po kilka nagród, medali i dyplomów z poważnych międzynarodowych konkursów. Wyrosło nam bowiem w Polsce-Ludowej pokolenie muzyczne młodzi, potwierdzające na arenie międzynarodowej wartość naszej kultury i wysoki poziom polskiego szkolnictwa muzycznego. W ilości laurów przywożonych do kraju przez polskich muzyków wyprzedzają nas jedynie muzycy radzieccy.

Aby zwrócić uwagę społeczeństwa, krajki, stowarzyszeń i kompetentnych instytucji na nie wykorzystywany potencjał młodości, organizowane są w Białymstoku Spotkania Młodych Muzyków, składające się z dwóch elementów: koncertowych prezentacji młodych laureatów konkursów muzycznych i dyskusyjnego Forum gromadzącego przedstawicieli centralnych instytucji oraz działaczy muzycznych z różnych ośrodków w kraju. Tegoroczne Spotkania podobnie jak przed dwoma laty nie ograniczyły się do Białegostoku, lecz przyniosły atrakcyjne koncerty melomonom Bielska Podlaskiego, Hajnowki, Sokółki i Supraśla. Łącznie odbyło się dwadzieścia koncertów, na których zaprezentowali się laureaci piętnastu międzynarodowych konkursów wykonawczych.

Każdy koncert zapisał się jako wydarzenie artystyczne i trudno byłoby kogokolwiek z młodych wykonawców szczególnie wyróżnić. Spośród solistów największe wrażenie wywarła na mnie produkcja Urszuli Mitreży, która bardzo pięknie, z olbrzymią wrażliwością i kulturą wykonała spory blok pieśni od Chopina

i Schumanna poprzez Brahmsa i Czajkowskiego kończąc na Brittenie. W drugiej części swego występu zasiadała przy fortepianie, porwijając słuchaczy równie wspaniałą interpretacją utworów Brahmsa (Rapsodia h-moll i g-moll, Intermezzo f-moll) oraz bravurowym i wirtuozowskim, a przy tym głęboko odczytującym wykonaniem Walca „Mefisto” Liszta. Artystka ta jest zupełnym fenomenem, zdobyła bowiem czołowe nagrody na najtrudniejszych konkursach, jako wokalistka w Genewie, a jako pianistka w Brukseli.

Mogła również zafascynować gra młodzieńczego Piotra Milewskiego, laureata drugich nagród Międzynarodowych Konkursów Skrzypcowych im. H. Wieniawskiego w Poznaniu i im. N. Paganiniego w Genui. Do Białegostoku przyjechał wprost z ogólnopolskich eliminacji przed konkursem w Brukseli. Wygrał je i można mu życzyć, by z tego trudnego konkursu wrócił z medalem. W Białymstoku zaprezentował krystalicznie, bardzo nośny dźwięk naturalną muzykalność i swobodę techniczną (w Koncercie skrzypcowym D-dur KV 218 Mozarta), a w zagranym na bis ostatnim Kaprysie op-

o Paganiniego — bezbłędne opanowanie karkołomnych chwytów instrumentalnych. Rosną więc zastępy młodych skrzypków; po Kulce, Górzyskiej, Dancowskiej, Grabarczyku, zajął ją blaskiem gwiazdy pierwszej wielkości talent Milewskiego, a wiaściwie Milewskich, gdyż — jak zwierzył się młody skrzypek — wśród trojga rodzeństwa (wszyscy grają) nieprzeciętny talent przejawia jego siostra, kształconą również przez tego samego, co on pedagoga z poznańskiej PWM — doc. Jadwigę Kaliszewską.

Eugeniusz Knapik, który wystąpił w podwójnej roli kompozytora i pianisty utrwalił się w pamięci słuchaczy przede wszystkim porwijającą interpretacją V Sonaty fortepianowej Aleksandra Skriabina, aczkolwiek i Sonacie d-moll Beethovena nie można niczego zarzucić. Wśród jego kompozycji najciekawszymi wydają się Trzy utwory na fortepian i Sonata na skrzypce i fortepian. Zawiodła natomiast nieco Anna Maria Stańczyk, która na finałowych koncertach wystąpiła w Koncercie fortepianowym A-dur Liszta. Co prawda trudno byłoby jej wytknąć jakiegokolwiek uchybienia

techniczne, a nawet muzyczne, dysponowała znakomitą techniką pasażową, oktagową, akordową itd. Można by jedynie „zausterkować” sam gatunek dźwięku momentami zbyt suchy i nieśmiały. Największy niedosyt sprawił wszakże brak wspólnej — solistki i dyrygenta — koncepcji tego dzieła. Nie sądzę, by wina leżała tu po stronie Tadeusza Wojciechowskiego, tegorocznego laureata II nagrody Konkursu Dyrygentów w Besancon — tu jeszcze ciepła, bo z ostatniej soboty, wiadomo — laureata III nagrody Międzynarodowego Konkursu Dyrygenckiego im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach. Przedstawione przez niego interpretacje „Preludium” Liszta i VII Symfonii Beethovena cechowała prze-myślana i konsekwentnie prowadzona linia budowania napięcia, dyscyplina brzmieniowa i wzbudzenie w orkiestrze białostockiej Filharmonii entuzjazmu do muzyki tak rzadko obserwowanego, a co ważniejsze — słyszanego z naszej estrady.

Wśród występów kameralnych najświetniejszy okazał się Kwartet smyczkowy „Varsovia”, który oprócz planowego

koncertu, zgodził się zagrać tego samego wieczoru drugi program w zastępstwie chorej Ewy Podles, sprawyającej nie po raz pierwszy zawód białostockim słuchaczom. Ten drugi występ przewyższył bodajże swą doskonałością pierwszy. Mistrzostwo zespołowej gry, absolutna synchronizacja pozycji i pionowa czystość partii, przetopienie czterech indywidualności w szlachetny krzeszcz o najwyższym stopniu czystości nadzwyczajnej, linii interpretacji — można by dalej snuć kolejne przybliżenia do istoty tych wspaniałych kreacji. Kwartet „Varsovia” grał po prostu tak, iż słuchacz wstrzymywał oddech, a po wysłuchaniu dwóch koncertów miał ochotę na następny. Jest to zespół światowej klasy. Zresztą wprost z Białegostoku pojechał do RFN, gdzie nagrywał płytę dla wytwórni RCA Victor.

Na wysokim poziomie stały także koncerty Warszawskiego Kwintetu Detego „Da Camera” i studenckiej orkiestry z Gdańska „Camerata Academica”. Słuchając tej ostatniej wspominałem pierwszy i ostatni zarazem rok działalności koncertowej Białostockiej Orkiestry Kameralnej, pracu-

Mały też człowiek

Po serii publicznych prezentacji dorobku malarskiego — debiut albumowy! Profesor Jerzy Łebkowski, neurochirurg, traktujący malarstwo jako pasję po-zaprofesjonalną ofiarował swą publikację dzieciom, częstym modelom swoich obrazów i częstym pacjentom kliniki, którą kieruje.

Album „Radosne dzieciństwo” powstał z przysięgi dla dzieci, z czym Profesor deklarował się wielokrotnie. I na ten temat napisał we wstępie słowa głębokie i niebanalne. „Aby dzieci dobrze



Profesor wśród książek i obrazów.

U JEZIORA BYSTREJ WODY PLACZE KASIA SWĘJ URODY TRZEJ PTASZKOWIE JEJ MOWILI NIE PLACZ KASIU, JEDZIE MIŁY...

To tylko fragment jednej z szerokiego repertuaru podlaskich piosenek, jakie zachowała pamięć Marii Marciniak z Ciechanowa. Aż trudno uwierzyć, ile w tej drobnej, 73-letniej kobiecie temperamentu.

Piosenek rodem z Podlasia, które pamięta Maria Marciniak będzie więcej niż osiemset. Niektóre z nich w całości zapisała w zeszytach, gdy przydała zimowe wieczory, wszystko notowała, zwrotka po zwrotce, żeby zostało dla młodszych, bo dziś nikt już tego nie pamięta. Maria Marciniak nie musi sięgać do notatnika. Zna wszystko jak z nuty, śpiewa bez tremy, z sercem.

Piosenki zebrali się z całego życia, i życie im ułożyło. A życie M. Marciniak nie było łatwe. Całe młode lata, aż do wyzwolenia, przynosiła się z jednego dworu do drugiego, od pana do pana, bowiem rodzice też nie mieli gospodarstwa i wysługiwali w obszarach. Na pierwszą służbę poszła do Warszawy, mając niespełna piętnaście lat. Po powrocie w rodzinne strony pracowała w różnych majątkach w okolicy Ciechanowa: w Bobikrach, Antoninie, Dominikowie, Klukowie. Ostatnim dworem były Konarze. Tu poznała męża, farnia, i już we dwójkę dorabiali się na cudzym, wychowując czwórkę dzieci.

— Gdyby nie to, że lubię śpiew, wesołość — mówi Maria Marciniak — trudno byłoby przeżyć tamte lata. Wtedy piosenki śpiewały się przy każdej okazji i jakoś wesoło było, choć bieda nie brakowała. Na przykład gdy chłop orał, a chciało mu się jeść śpiewało „Ludzie kobiecie mięso obiadeczek tylko mojej nie widać”.

— Pomóż, pomóż dwa kije dębowe Trzeć rączka Jasiuś

W podlaskie obrzędy i piosenki najbogatsze były żniwa. Maria Marciniak dobrze je pamięta, choćby z tej racji, że jako najmłodsza żniwiarka pełniła funkcję piosenki, to znaczy była na postaci, na pierw-szym planie. Zbiwała zboże za postatkami, piosenką kołysząc i kładła je na paszki. W dzień rozpoczęcia żniw zawsze przyjeżdżał na pole dziedzic. Wtedy postatka podchodziła do niego, rzucała pod nogi równian-

kę (garść zboża) i mówiła: Witam pana ni srebrem, ni złotem, tylko tymi darami, które na polu zbieramy. Daj Boże panu dziedzic za rok doczekać. A dziedzic na to: — i wszyscy robotnicy.

Nad łanami zboż wszędzie unosiły się melodie. Piosenkami także kłócił się żniwiarze. Kiedy robota szła wolno śpiewano:

— Pożnajcie, nie stojcie, pana Boga się boicie
Pożnajcie lichmany, pozejmujcie kormany
Toć my żniemy, nie stoim, pana Boga się boim.

— Oj wylatuj sokoło, już nie wyjdziem w to pole
Oj wylatuj przepiórko, już nie wyjdziem w to półko.

Później wszyscy żniwiarze szli z równianką do dziedzica. Ktoś mówił: otwarcą panie nowe wierzeje, już na polu żyto nie wieje. Plon niesiem, plon, dla naszego pana w dwór. Dziedzic dziękował za pracę, ogłaszał termin dożynek i po śpiewach rozchodzono się do domów już z poczuciem, że jutro przyniesie trochę wytchnienia.

— Gdy czasem położę się do łóżka i nie mogę zasnąć — mówi Maria Marciniak — to

Ułożono też piosenkę na postatków, gdy nadawali zbyt duże tempo pracy:

— Oj pofolguj, postatka, pofolguj
Obejrzyj się na mój żagony, nie morduj
Postatka, grzeźna dama, folguje
A postatki, dorobielce, morduje

Po ścięciu ostatnich łanów nadchodził czas przepiórki. Kobiety stroili kwiatami ostatnią garść zboża, w środku na kamieniu, przykrytym szmatką kładli chleb i sól. Przepiórkę trzeba było obowiązkowo „oborać” dziewczętami. Te więc, które wiedziały, na czym związać polega, wkładały w tym dniu spódnice, albo spinały koszuły agrałkami, bo chłopcy różni byli i niejednemu przychodziło gołym tyłkiem rzykoć. Teraz przepiórkę rzadko kto robi — mówi pani Maria. Snopowiązalka kółkowa, czy kombajn ścina zboże do ostatniego dżdża. A jakie piosenki przy przepiórce śpiewano... Choć jedną warto przypomnieć:

W ostatnim dniu Spotkań w Białymstoku odbył się Międzynarodowy Konkurs Młodych Muzyków. Reprezentanci z różnych krajów wzięli udział w konkursie, który organizował Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku. Zbigniew Kycia nakreślił zadania polityki kulturalnej w zakresie upowszechniania muzyki ze szczególnym uwzględ-

nie, prawdy. „Dzieci stanowią słoneczną stronę naszego życia. Należałoby sobie życzyć, aby ci mali ludzie zatrzymali na zawsze swój dziecięcy urok, uśmiech i wzajemną ufność.”

W albumie — 26 portretów z poetyckim akompaniamentem. W rodzinie Państwa Łebkowskich bowiem każdy poza zajęciami zawodowymi uprawia jeszcze coś na własny użytek. Syn Wojciech, student VI roku Wydziału Lekarskiego pisze wiersze. Te, które znajdują się w albumie też tematycznie korespondują ze światem

dziecka. Korespondują, udatnie. I trudno w nich nie dostrzec refleksu humanistycznej atmosfery domu, w której wyrósł młody autor.

Album ukazał się w Międzynarodowym Roku Dziecka, otrzymał też dwujęzyczną polsko-angielską wersję (teksty angielskie Róża-Maria Prais). Wydawca - Tarchomińskie Zakłady Farmaceutyczne „Polfa” zadbały o swój interes i mają teraz artystyczne prezenty dla swych kontrahentów. W sprzedaży ta publikacja jest nie do osiągnięcia.

Prof. dr Jerzy Łebkowski

Organizatorzy mają świadomość, iż Spotkania nie są jeszcze w pełni ukształtowane. Sprawdzili się założenia programowe i artystyczne. Dalej rozwój imprezy będzie polegał na stopniowym wchodzeniu, przenikaniu do zakładów pracy, szkół i uczelni. Spotkania będą także okazją do sumowania doświadczeń i wyciągania korygowania dróg prowadzących do najbardziej efektywnego „uwłaszczania” kultury muzycznej przez szersze kręgi społeczeństwa. Myśli się już teraz, o rozszerzeniu imprezy na inne dyscypliny sztuki.

STANISŁAW OŁĘDKI



Portret rodzinny z fotografii — z żoną z synami Markiem i Wojciechem. Marek Łebkowski jest już inżynierem. Niestety, prawie zarzucił grafikę, którą uprawiał. Fot. Piotr Sawicki jr.

skier od r. 1961 związany jest z Akademią Medyczną w Białymstoku. Kieruje Kliniką Neurochirurgii oraz Instytutem Chorób Nerwowych i Narządów Zmysłów AMB. Prezesuje Polskiemu Towarzystwu Neurochirurgów.

Prof. dr Lucjan Stepien rekomendując album tak pisze o autorze portretów: „Zamiłowania do malarstwa wyniósł z domu rodzinnego: ojciec był wybitnym specjalistą w dziedzinie kwiaciarstwa i u talentowanym malarzem akwarelistą, matka była rozmówcą w literaturze a starszy brat inżynierem. Atmosfera domu rodzinnego z bogatą tradycją walki o niepodległość musiała mieć duży wpływ na kształtowanie się osobowości autora i na rozwój jego zamiłowań. Głęboko patriotyczne wychowanie ugruntowało w nim miłość do Ojczyzny, jej historii i do piękna jej przyrody”.

(D. G.)

P.S. Najnowsza wystawa prac profesora Jerzego Łebkowskiego otwarta została w klubie Białostockiego Teatru Lalek (ul. Kalinowskiego 1).

Prezent pod choinkę

Zgodnie z zapowiedzią sprzed kilkunastu dni rozpoczynamy znowu kolejną edycję konkursu „Moja Biblioteka”, tym razem przebiegającego pod nazwą „Klub Przeciół Książki”. Jak zwykle jednak — w miarę regularnie — prezentować będziemy rubrykę, w której znajdą się omówienia interesujących książek, nowości i wzmianki, zdolnych zainteresować każdego czytelnika. Ponieważ konkurs ma za zadanie zbliżyć ludzi o podobnych gustach, będziemy się starać, by proponowane pozycje były monotematyczne. A więc jeśli przedstawiamy uczestnika akcji zbierającego literaturę faktu, omówimy krótko trzy, cztery książki reportażowe itd.

Tymczasem jesteśmy w okresie, gdy wszyscy swoim najbliższymi składają pod świąteczną choinkę prezent, a przecież książka jest chyba tym najlepszym i najbardziej uniwersalnym. Każdy z nas wie dobrze, jak nierzadko trudno trafić — a ma to być przecież niespodzianka — w zainteresowania nawet bliskiej osoby. Krawat może być za ciemny, koszula za jasna, zabawka mało atrakcyjna. Zatem książka, album, ewentualnie płyta gramofonowa.

Coraz więcej na naszych półkach ciekawych i różnorodnych pozycji i chociaż często znikają one w ciągu kilku godzin, warto w takim momencie — przypilnować godzin otwarcia księgarń. Dlatego też chcemy dzisiaj zaproponować czytelnikom cztery bardzo różne i odległe od siebie tematy i stylizację książki, których lektura powinna przynieść satysfakcję. Mają one wszystkie te same cechy, że zdolne są zainteresować — ze względu na swoją jakość — każdego w zasadzie czytelnika. I chociaż ich stopień trudności jest również bardzo różny, wyszły spod pióra pisarzy naprawdę bardzo ciekawych. Znajdziemy tu więc beletrystykę (Kowalewski), literaturę faktu (Górnicki), literaturę popularnonaukową (Dobroczyński i Stefanowicz) oraz twórczość bardzo specjalistyczną, skierowaną na określonego czytelnika (Zawarski).

Jeśli natomiast nie dostaniemy już w księgarniach wymienionych książek, to z pewnością znajdą się inne, o podobnym charakterze, a doświadczeni — mamy nadzieję — personel sklepu potrafi doradzić właściwy wybór.

WIESŁAW GÓRNICKI: SCENY PRZYDROŻNE. CYTELNIK, WARSZAWA, 1979 R. S. 261, ZŁ. 28.

W białej obwolutie (reportaż zagraniczny) serii „Biblioteka Literaturny Faktu”, prezentujący zbiór publikowanych już najcenniejszych utworów ukazała się książka jednego z naszych najlepszych reportażystów — Wiesława Górnickiego. Nie wielu jest u nas dziennikarzy, na których nowe reportaże czeka się z takim ucieśnieniem. Obok Górnickiego jest nim chyba tylko Ryszard Kapuściński. W zbiorze „Sceny przydrożne” autor wraca do dawno minionych lat, kiedy to jako reporter, zaczynając swoją karierę w reportażu zagranicznym. Tu konieczna jest dysgresja: reportaż, jako gatunek odzwierciedlający

MICHAŁ DOBROCZYŃSKI, JANUSZ STEFANOWICZ: TOŻSAMOŚĆ EUROPY. PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA, 1979 R. S. 241, ZŁ. 30.

Autorami kolejnej pozycji serii „Biblioteka Myśli Współczesnej” są: prawnik i ekonomista, specjalista od spraw międzynarodowych — Michał Dobroczyński oraz prawnik i historyk, publicysta, redaktor naczelny „Słowa Powszechnego” — Janusz Stefanowicz. Postanowili oni przywrócić staremu kontynentowi z kilku różnych pozycji. Rozdział pierwszy w charakterze ściśle historycznym, pokazuje Europę od jej narodzin do dnia dzisiejszego. Rozdział następny rozważa różne aspekty — polityczny, ekonomiczny, kulturowy — współczesnej Europy, uwzględniając oczywiście b-

STANISŁAW KOWALEWSKI: ODWIEDZINY O ZMIERZCHU. PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 1979 R., S. 238, ZŁ. 25.

Ten niezwykle płodny pisarz, autor wielu zbiorów opowiadań i powieści, jakoś nie może doczekać się należnego mu uznania, ze strony krytyki i czytelników. A przecież, dzięki warstwie fabularnej swoich utworów bez wątpienia należy do czołowych pisarzy średniego pokolenia. „Odwiedziny o zmierzchu” to zbiór opowiadań drukowanych uprzednio w takich tomach jak: „Godzina zwycięstwa”, „Podmiejska ballada”, „Ten chwiejny ład” i „Wycieczka we dwoje”.

EREST ZAWARSKY: J. S. BACH. POLSKIE WYDAWNICTWO MUZYCZNE, KRAKÓW 1979 R., S. 598, ZŁ. 125.

Narastająca moda na wszelkiego rodzaju pozycje biograficzne także naszym wydawcom raz po raz wznowiać ciekawe książki, których pojawienie się wywoływało niegdyś duże zainteresowanie ze strony czytelników. O Janie Sebastianie Bachu wyszły u nas dwie ważne pozycje: znakomitego Alberta Schweitza i właśnie Zawarskiego. Układ obydwu książek jest podobny i może zadowolić zarówno miłośników biografii jak i wytrwałych melomanów. Najpierw więc

last historyczny. Wreszcie rozdział trzeci analizuje relacje Europy — reszta świata, a więc przede wszystkim wzajemne stosunki z kontynentami położonymi na drugich półkuli. Należy jednak uprzedzić, że mimo satysfakcji, jakie dostarcza lektura „Tożsamości Europy”, jest to książka po pierwsze przeznaczona dla młodego wyrobionego czytelnika, po drugie zaś wymaga nadzwyczajnego skupienia i uwagi. Ale chyba warto. M. Dobroczyński i J. Stefanowicz, są autorami mądrymi i doświadczonymi, a ich poprzednie (pisane indywidualnie) pozycje pozwalają na pełne zaufanie.

Hasło „Spotkania Młodych Muzyków” nie okazało się na le chwytliwe, by przyciągnąć do sali Filharmonii tłumy słuchaczy. Znaczenie lepiej zwięźniać było w terenie, chodząc do ludzi, którzy nie wydawali się poznać znaczących karier polskich muzyków. Co prawda Rozgłośność i lektura zarejestrowała kilkunastu koncertów i będzie się kulowanie emitowała, jednakże lepsze technicznie nagranie zastąpi żywego wykonania, czego tak się stało, dlatego obserwujemy wpływ słuchacza z sal koncertowych — temat do rozważań na trwałe, właśnie w Warszawie wstąpił Uprawie upowszechniania Kultury Muzycznej.

Zamykając Forum Młodych Muzyków dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Białymstoku, Zbigniew Kycia nakreślił zadania polityki kulturalnej w zakresie upowszechniania muzyki ze szczególnym uwzględ-



STANISŁAW OŁĘDKI

KOLUMNA LITERACKA

S pacery po ulicach pełnych elegancji, zwiastujących o zmroku, gdy zapalały się wszystkie neony, wystarczałyby poczuć się nagle daleko od rzeczywistości, w samym centrum snu.

Nie pamiętam, czy był to trzeci czy czwarty dzień mojego pobytu w Wiedniu. Faktem jest, że tego dnia zjeżdżałem do podziemnego przejścia schodami o stopniach wylepionych postrzępionymi reklamami kosmetyków. Na dole nie było prawie ludzi. Minęły godziny szczytu.

Na betonowym chodniku siedział młody człowiek z długimi włosami, niechlujny, obrosnięty. Na fanelowej koszuli miał niezgrabnie wyszyty pretensjonalny napis „I love you”, dopiero później rzuciło się w oczy drugie zdanie w innej barwie — „All people the world”. Przed sobą rozłożył olbrzymi karton i pudełko kolorowej kredy. Rysował jakiegoś surrealistycznego obrazka. Na czterech rogach stały miseczki opatrzone wypisanym także „kredą” podziękowaniem „Danke”, „Danke”, „Danke”. Ludzie mijali go obojętnie, ale czasami ktoś z taką samą obojętną miną wrzucał szyling czy dwa do plastikowej miseczki. Dla mnie był to widok egzotywny. Zatrzymałam się. Patrzyłam przez ramie brudnemu malarzowi na karton oraz bardziej żywy i pomazany, nabierający wyrazu i tracący swój kontakt z odbiorcą za każdym kolejnym ruchem ręki. Nie wiedziałam czemu ma służyć pokazywanie innym własnej nędzy i obnażanie przed nimi doskonałe im znanej niezrozumiałości świata. Było w tym coś ze snobizmu bogatych Meksykanów, które podczas gorącego lata noszą drogą futra.

— Za ile pan chciałby to sprzedać — spytałam głośno. Milczał. Minęła mnie szykowna blondynka w dobrze skrojonym kostiumie.

— Oni nie sprzedają. Ten karton to parawan, za którym ukrywa się żebractwo.

Udawałam, że nie słyszę i ponowiłam pytanie do długowłosego.

— Nie odpowiem pani. Czy pani nie widzi. Jest po świeżej dawce narkotyku — uśmiechnął się, ale to nie był miły uśmiech.

Spojrzałam w jego oczy. Rzeczywiście, zasłany mgłą przez którą przedostawał się ku nam szklisty polys! Ocu lalki. — Powinno się zawołać policję — powiedziała kobieta.

— Po co?

— Dla turystów stają się wizytówką miasta. To szpec.

Uśmiechnęła się jeszcze raz i już chciała mnie minąć, ale coś sobie przypomniała i zatrzymała się ponownie.

— Nie przyszło mi to do głowy. To przez ten pani doskonały niemiecki. Pani jest cudzoziemką?

— Jestem. Coż z tego?

— Nic. Pani także zabierze ze sobą jego obraz — wskazała na chłopca, którego powiększone źrenice zatapiały się w zagmatwany system barw na kartonie.

— Inne obrazy też: Hofburg, Prater, katedra św. Stefana, Schönbrunn, kołowe tramwaje, tyrolskie kapelusze...

— Wszystko w jednej szufladzie — zaśmiała się nieznajoma. Turysty są największymi fałszerzami rzeczywistości — dodała.

Nie wiem jak to się stało, że od razu przystałam na proponowaną przez nią przysiadkę. Po drugiej stronie ulicy stała samochód, żółtego, ciemnego. Prowadziła sprawnie. W gorze panował despotyczny mrok, niebo było czarne jak ciemna smola, ale miasto przykrywał „losz światła”. Jechala dość dziwną trasą. Najpierw okrążyła Gortel obudowane mnóstwem okazałych domów i dopiero potem przejechała przez most na Dunaju. Po drugiej stronie to już nie był prawdziwy Wiedeń, tylko przedmieście i komuny petroleum, z których jak pochodnie buchały języki ognia.

— Przyszło neutralne Austrii. — wskazała głową na majaczące się w półmroku kontury komünatu.

Zaczęła cicho nucić walc Straussa.

— A Dunaj już nie jest piękny i mody — powiedziała jakby a'propos urwanej nagłej melodii.

Zatrzymałam się na maleńkim prywatnym parkingu przed olbrzymim budynkiem o mocno spadłym dachu. Biało obramowane okna lśniły w ciemności, poza tym otoczenie domu wymykało się oczom. Na powitanie wybiegły

psy. Nieznajoma poczochnała je dłońmi po łbach.

— Nestor, Hektor, Cicho!

Weszliśmy do przestronnego holu. Przy prowadzących na górę drewnianych schodach stały dwie palmy. Wskazała mi drzwi. Znalazłam się w przestronnym pokoju, czymś „osobnym” pomiędzy biblioteką, salonem i gabinetem. Ściany naprzeciw drzwi zajmowały półki z książkami, przy drugiej stało biurko obłożone papierami. Wreszcie olbrzymi kominek. Palenisko nie było prawdziwe. Czerwona żarówka przykryta częściowo osłoniętymi drewnianymi.

— Czas, żebym się przedstawiła. Anna von Detten — wyciągnęła do mnie swoją dłoń.

— Maria Koszykowska.

— Koszykowska! Koszykowska! — bała się wymawiając nieporadnie moje nazwisko.

— Polka — to było stwierdzenie, a nie pytanie.

— Tak.

— Znam.

— Co?

— Polka, Kraków, Warszawa.

Rozmowa się urwała.

— Zrobię kolację. Proszę poczekać.

Zostawiła mnie samą. Pokój pełen ponurych mebli z ciemnego drewna przytaczał staroświecką stabilność.

Nad kominkiem wisiał portret. Przyjrzałam się książkom. Piękne wydania poezji Rilke'go, poza tym Kafka, Nietzsche, Schopenhauer, a obok Goethe, Schiller, Herder i reszta klasycznych niemieckiej literatury. Dalej już nie patrzyłam, bo Anna weszła do pokoju z tacą. Zjadaliśmy kolację, umilając sobie czas stereotypową rozmową o niemieckiej kulturze.

— Mieszka pani sama?

— Nie. Mój mąż jest teraz w Australii. Bóg jeden wie, co on tam robi. Mam też córkę. Uczy się w Szwajcarii w takiej szkole w Bazylei. Jest niewidoma — dodała znacznie ciszej.

— Ale ja tu nie zaprosiłam pani po to, żeby się żalić. Lubię rozmowy z cudzoziemcami. Wiąże magnetofon.

Nad ranem następnego dnia obudził mnie dzwonek do drzwi. Byłam ciekawa i ciągle jeszcze zaszkokowana luksusem wnętrza domu. Interesowałam się każdym drobiazgiem. Stanełam na podestu schodów. Widziałam jak Anna odsuwa zamek a Hektor i Nestor warczą niespokojnie.

— Cicho psia!

W szparze między drzwiami a białą framugą pojawiła się obrosnięta twarz. Nie poznałam go w pierwszej chwili.

— O co chodzi?

— Nic. Zgubiła pani portmonetkę. W środku była wizytówka.

Anna łaczącywie chwyciła w palce zębu. Otworzyła portmonetkę i wsunęła mu w dłoń dwadzieścia szylingów.

— Coś mi się nie podoba w tej twojej uczciwości, ale masz.

Chciała zamknąć drzwi. Przytrzymałam je.

— Co jeszcze — spytała ostro.

— Pani organizowała wernisaże dla młodych artystów.

— Cóż z tego?

— Każdy szuka pomocy gdzie może. Coś takiego uratowałoby mnie... — śmiało parł naprzód.

— Jesteś ruiną człowieka.

— I tak i nie.

— Wejść.

Wpuściła go wreszcie do środka. Dopiero teraz ostatecznie potwierdziły się moje przypuszczenia. To był odatus, który wczoraj malował w przejściu kredą na kartonie.

— Już nie robię wernisaży.

— Ale pieniądze nie to pani ma.

— Nie twoja rzecz. Wydaj na to, na co mi się podoba.

— Nie jestem burzumem. Nie znam się. Skrzywił się pogardliwie i wyciągnął papierosa.

— Marihuana? — spojrzała podejrzliwie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— Nie.

— E, tam. Robię to, co mi się podoba — powtórzył za nią.

Anna chętnie pokazywała mu drzwi, ale bała się nieznajomego, który robił wrażenie silnego i trochę nieobliczalnego.

— Jedną chciała wczoraj kupić moją malowidło, więc chyba nie jest zle — zaciągnął się.

— Marie! — krzyknęła do mnie Anna. Zeszłam na dół. Poznałam.

— Pamięta pani ten jego malunek? Skinęła głową.

— Kupiłaby go pani?

— Gdybym miała za co.

— To załatwione. Biorę go dla pani.

Przyniesł jutro swój karton — to było już do niego. Zmierzył palcami brode.

— Ustalasz cenę?

— Zasmiał się.

Barbara Tuderowicz

Nad pięknym, modrym Dunajem

BARBARA TUDEROWICZ ur. 1960 r. w Białymstoku. Jest absolwentką Liceum Ogólnokształcącego, a obecnie pracuje w Białostockim Ośrodku Badań Naukowych, jako statystka. Drukowane obok opowiadanie jest jej debiutem.

— Sześć tysięcy. Więcej nie dam.

— Dobra — powiedział z flegmą, ale oczy mu pojaśniały. Zdradził tym zadowolenie objedzonego mięsem psa.

Nazajutrz przyniósł zwinęty w rulon karton, kilka olejnych płócien i kilka grafik.

— Po co to? — spytała Anna von Detten, przeglądając jego dzieła.

— Przecież pani robiła wernisaże. Może się będzie pani podobać to wszystko.

— Nie jest złe.

— No, widzi pani.

— Nie ma wernisaży dla żebraków — narkomanów.

Przekładł gładko tych kilka niezbyt miłych epitetów.

— Przecież za tydzień. Pomyśl... — dodała pani von Detten.

Prosiła mnie, bym zabawiła u niej jeszcze kilka dni. Po południu wzięła mnie po mieście, pomagała robić zakupy, opowiadała ciekawe rzeczy o zabytkach. Zorientowałam się, że musi mieć ustaloną pozycję towarzyską i jej wyznacznik — pokaźne konto w banku.

Kłaniali się jej na ulicach bardzo dobrze ubrani ludzie. Nie lubiłam spojrzeć jakie rzucała mężczyznom. Była w nich zachłanna dzikość. Któregoś wieczoru przy kolacji powiedziała:

— Wie pani — chyba zorganizuję mu wernisaż.

W ciągu tych paru dni stałam się dla niego towarzysznią. Nie wiedziałam, nie mogłam zrozumieć czemu zawdzięczałam jej gościnność. Wiedziałam już, że Anna miała dziwactwa i zachcianki, ale bogate, rozpuszczone przez los kobiety. Kolację jadałyśmy zawsze tylko przy świecach. A Anna nie kładła się spać przed północą. Mówiła, że czeka na pojawienie się ducha.

— Zapytam go o przyjaźność — zwierzała się z tajemniczym półśmieszkiem. Następnego dnia przyszedł młody, kudłaty artysta.

— Namysliłam się. Biedzieliś miał wernisaż. Zasiegałam opinii profesora Hagera z Akademii Sztuk Pięknych. Powiedział, że to są dobre prace, zrobione z pewnym talentem.

Młody człowiek uśmiechał się i swoim zwycięzcom gmerał palcami w gestie brodzie.

— Ale warunek. Od dziś pracujesz u mnie. Dam ci pokój na pracownię.

— I jeszcze jedno. Imię i nazwisko — spytała jak doświadczony policjant.

— Helmut Schönberg.

Zasmiała się. Imienne powinowactwo ze znanym kompozytorem kryło w sobie jakiś paradoks.

I już następnego wieczoru Helmut zaszłał razem z nami do kolacji. Przyszedł w jeansach i swojej wystrzępionej koszuli z haftowanymi napisami.

— Naprawdę kochasz wszystkich ludzi na ziemi? Popatrz co z ciebie zrobił — śmiała się złośliwie Anna z tego dumnego „All people the world — I love you”.

— Uważasz, że jestem brzydka? Nie chciałam słuchać, ale to zdanie Anny zatrzymało mnie w korytarzu.

— Nie.

— Więc czemu mnie nie chcesz?

— Ja ciebie? Ja panią — poprawił się.

Byłam pewna, że w tym momencie wytrzeszczył w zadumieniu oczy.

— Czekam — usyszałam głośne słowa Anny. Wybiegła z pokoju Helmuta. Ledwie zdążyłam się skryć za drzwiami. Długo nasłuchiwałam. Helmut przemierzał dużymi krokami pracownię. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Widać wahał się, myślał. Za godzinę, albo dwie wyszedł z pokoju. Wrócił nad ranem.

Wszyscy troje spotkaliśmy się przy śniadaniu. Żadna iskra, żaden blask, o, ka nie zdradziła Anny. Na jej twarzy gościła doskonała, wystudiowana obojętność.

— Dostałam do dyspozycji salon wystawowy przy Mariahilfer Strasse. W czwartek otwieramy swój wernisaż — mówiła pijąc powoli kawę ze śmietanką. Helmut nie wydawał się zachwycony. Po jego wargach błędził ledwie zauważalny uśmiešek niesmaku. Kiedy zostawiałam ich na moment samych przy stole, usyszałam głos Anny.

— Wiem, że potem uciekniesz jak najdalej. Ale teraz cię mam. Nie stać cię na wielkie rezygnacje.

Pozwalał się deptać, pozwalał pluć na swoją ambicję.

— Zostaje tylko dlatego, że nie chcę zdychać na ulicy. Ty tego nie znasz, chociaż to może mniejsze upodlenie. A ona, tamta cudzoziemka, to twoja dymna zasłona przed przyciętymi, co?

Wróciłam. Przerwałam rozmowę. Milczałam. Tego samego dnia Anna poprosiła, bym pojechała do miasta z Helmutem. Dala mu swój samochód. Ubrana w modną, ładną sukienkę z wiedeńskich „gamble sates” usiadłam obok Schönberga.

— Gdzie pani chce pojechać?

— Czy ja wiem.

— To może na Prater.

Zawiozł mnie do tego centrum taniej rozkosznej rozrywki. Wielkie koło „Riese Ringu” z wagonikami wywołanymi ludźmi obracało się bezustannie.

— Chodźmy.

Helmut ciągnął mnie za rękę poprzez wąskie uliczki pełne niespodzianek. Głównie ciekawe potwory wyładowały przez okna zamków z dyktu. Po zagmatwanym systemie napowietrznych szyn mknęły minipojazdy wiozące amatorów szybkości. Dzieci ujeżdżały spokojne konie. Kobieta o wyzywającej twarzy kłapała na film pornograficzny. Walce Straussa grane przez muzyków w małych kafejkach mieszały się z dźwiękami współczesnej muzyki młodzieżowej. Oszołomiona gigantyczną fabryką rozrywki oddechaliśmy, gdy Helmut pozwolił mi wreszcie usiąść przy stoliku, pod gołym niebem. Postawił dwa kufle piwa.

— Zmienię się pan — stwierdziłam. Zauważyłam, że ten dystans go krepuje.

— Zmienię się — poprawiłam. Uśmiechnął się.

— Nie biorę zastrzyków odkaś u niej mieszkam. Czuję się coraz gorzej.

Faktycznie, jego oczy były bardziej przytomne, ale pełne jakiejś gorzkości.

— Za trzy dni twój wernisaż.

— Wernisaż! Wernisaż! — zaczął mnie przedrzeźniać. — Wiesz co to znaczy być takim artystą — mizeriasta? Ona mi robi wernisaż? To pic z tym profesorem Hagerem. Podobalem się jej ja, a nie moje obrażki. Chce się bawić do póki jej meżus burżuaz nie wróci z cholernej krainy owiec, z nowym zapalem sił z nową żądzą „Made in Australia”. A żeby nikt nie pokpiwał, wysysa mnie z tobą do miasta. Ale bez formy każdy jest szmatą.

Opuszciliśmy Wiedeń kilka dni później. Gazety pisały, że Helmut stanie przed sądem za naruszenie porządku publicznego. Anna wdrapała się na najwyższy szczyt obojętności.

— Czy mam go wiedzieć, że mam do czynienia z szaleńcem? Sama przyznała? — spytała mnie jakby szukała usprawiedliwienia. — Tak, miał w naturze coś dzikiego, ale to nie ja zrobiłam z niego zwierzę, powiedz, to nie ja?

— Nie mogłam uwierzyć w szczerść jej skrupułów, ale jednak lśniały.

Anna odprowadziła mnie na dworzec. Na peronie Schönberga obrótnie młodzień, prototyp Schönberga i rysował sceny biblijne na kartonie. Anna niby niechcąco potraciła miseczkę na pieniądze. Szylingi rozsypany się. Gonilo za nią przekleństwo ulicznego artysty.

Wyjął z kieszeni spodni jakąś tabletkę. Polknął popijając piwem. Wstał. Bałam się wracać z nim do domu. Rece oparte o kierownicę drżały mu wyraźnie. Wpatrywał się nieprzytomnie w szarą wstęgę szyby. Przed bramą zamknął gwałtownie. Anna powitała nas w progu. Już się nie kryła. Splotła ramiona na jego szyi. Wyrwał się.

— Jesteś dzięk! — zaśmiała się ironicznie.

Syszałam jej kroki tej nocy. Syszałam ich oddechy. Długo nie mogłam zasnąć.

Czwartek zbliżał się nieubłagannie. Jacyś mężczyźni przyjeżdżali po płótno Schönberga małym samochodem bagażowym.

Na wystawie Anna nalożyła nową sukienkę, papfollę na wysokich szpilkach i trochę biżuterii, w bardzo dobrym tonie. Nie była ładna, ale była zgrabna, dala swojej urodzie wszystko, co można kupić za pieniądze. Nie mogła kuścić wdzięku. Kanciaste ruchy pały całość stworzoną przez kosmetyczkę i krawcową. A ile miała lat? To było jej tajemnicą.

Pojechałam razem z nią na Mariahilfer Strasse. Helmut gdzieś zniknął, więc Anna sama otworzyła wystawę. Malowidła Schönberga podobały się, chociaż na mnie sprawiły przygnębiające wrażenie. Były to obrazy narkotycznych wizji zrodzonych w wyobraźni chorego człowieka.

— A gdzie autor? Gdzie autor? — posali krazyły szmery.

Rzeczywiście Helmuta wciąż nie było. Znany w Wiedniu krytyk podszedł do pani von Detten.

— Muszę przyznać, że odkryła pani prawdziwy talent.

Wszyscy obejrzeli już obrazy i zaczęli się coraz bardziej niecierpliwić. Trzeba było jakos złamać atmosferę oczekiwan.

— Wobec tego może pójdziemy na szampa — zaproponowała Anna, która z okazji otwarcia wystawy przegotowała także skromny poczęstunek. Liczba osób była ustalona, gdyż na dzień otwarcia wysłano specjalne zaproszenia. Ludzie bawili się doskonalnie. Zapomnieli o autorze i jego dziełach, przeszli na zwykłe plotki i ploteczki.

— Pani Marie, niech pani coś opowie o swoim kraju? — zaczęli mnie wreszcie nagabywać. Wielu z nich znało Warszawę, niektórzy Gdańsk. Gdzieś po godzinie beztrudnych rozmów dobiegł nas krzyk portiera. Parę osób wybiegło z sali przy salonie wystawowym. Młody człowiek w brudnej, fanelowej koszuli z furia ciał nożem plamił. Strzępy smutnie opadały od ram.

— Policja! Zawołaj policję! — krzyknął ktoś i wybiegł pośpiesznie.

— To szaleńiec! Lapać go!

Rzucili się ku niemu. Kilkaście ramię przycisnęło go do ziemi. Szarpał się, szczyrzył zęby jak głodny wilk. Za Policjanci wbiegli za parę minut. Złoty obrosnięty drabowi kajdanki. Przeszła się bronie. Uśmiechał się tylko ironicznie.

— To chyba było delirium — powiedział jeden z policjantów.

— Nie. Jest po narkotykach — drugi zajął mu w oczy.

— Co to za jeden?

Wyjeźli mu z kieszeni spodni jakiś pomięty dokument.

— Helmut Schönberg.

— Helmut Schönberg, — szmer zdjął wienia przeszedł sale.

—

Pięć poetycznych światów

Sprawą nieprzypadkową jest zjawienie się na pewnego czasu aktywności młodych literatów w kraju, przynoszących coraz więcej zbiorów i indywidualnych publikacji, z których sporo powstaje poza oficjalnym targowiskiem literackim. W ubiegłym miesiącu — staniem Klubu Literackiego ZLP i Miejskiego Domu Kultury w Białymstoku — ukazało się jednocześnie pięć tomików, czy raczej — zeszytów poetycznych młodych białostockich poetów. Publikacji tych nie można — wydaje mi się — rozważać wyłącznie w kategoriach krytyczno-literackich. Te pięć zbiorów: „We śnie, w bólu słowa” Nadziei Artymowicz, „Wiersze” Jana Sochoń, „Respons” Apoloniusza Bogumiła Ciołkiewicza, „Święta noc” Michała Szachowicza i „Poprzedni” Eugeniusza Szulborskiego zasługuje na uwagę również jako fakt społeczny.

W inicjatywę wydawców omawianych pozycji należałoby dostrzec istotną sprawę, jaką jest artykulacja określonej, konkretnej roboty społeczno-kulturalnej, obliczonej na zwiększenie wysiłków grupki zapaleńców, którzy korzystając ze sprzyjającego klimatu, podjęli się trudnego stworzenia wartości ponadregionalnych i wprowadzenia ich w społeczny obieg.

Wszystkie tomiki powstały pod redakcją przewodniczącego białostockiego Klubu Literackiego ZLP, Sokrata Janowicza. Wyboru wierszy do poszczególnych zbiorów dokonali: Wiesław Kazanek i Jan Leńczuk.

Na wstępie trzeba zaznaczyć, że twórcy prezentowanych w tomikach dzieł są — mimo specyfiki wydawnictwa — od natrętnych serwilizmów regionalnych, natomiast chętnie orientują się ku sferom bardziej uniwersalnym, ku domeniom filozoficznym, pasjom moralnym czy estetycznym. Autorzy nie proponują jednolitego, wypracowanego przez siebie modelu poezji. Korzystają z modeli już istniejących. Wiersze tworzą dość zróżnicowany indeks poetycki, typów ekspresji i postaw światopoglądowych, nie odbiegając jednocześnie, niestety, od dość powszechnej bylejałości formalnej.

Rzecz zrozumiała, że nie sposób na podstawie skromnego wyboru kusić się o bardziej generalne oceny aktualnego dorobku piątki autorów lub snuć prognozy, dotyczące ich dalszego rozwoju. Poezja Artymowicz, Sochoń, Szulborski, Ciołkiewicz, Szachowicz, to różnorodna problematyka i w pewnym sensie formalnie, ma również wspólną cechę, której należałoby się dopatrywać w specyfice dialogu ze światem zewnętrznym. Przewodnym motywem tej twórczości jest człowiek, jego świat przeżyć i doznań. Człowiek żyjący w konkretnej rzeczywistości — tu i teraz. Żyjący obok, albo raczej — wśród nas.

O „Wiersze” Jana Sochoń, poety i krytyka mającego za sobą szereg publikacji na łamach ogólnopolskiej prasy. Jeżeli wierzyć oczywistej prawdzie, że każdy twórca penetruje ten obszar ludzkich przeżyć, który jest mu najbliższy, którego najbardziej dosłownie, to tym obszarem dla Sochoń jest własne ego uwikłane nieco metafizycznie w otaczającą rzeczywistość, przy czym ta rzeczywistość jest rozpatrywana w kategoriach determinujących wszelkie interpretacje świata poety i z założenia („lecz nie pytasz o własną przyczynę, zupełnie słusznie”). Dla Sochońa poezja jest właśnie jedną drogą, ułatwiającą prawdziwe poznanie, mimo że bez wiersza też bym widział (niepokonany nigdy przez słowa). Janusz Tarnienko we wstępie do tomiku podkreśla: „Gdy tam (w romantyzmie) poeta wystrzykiwał swoją wyższość, to tutaj — Sochoń — jedynie wyszeptuje w pokorze. Bardzo chcą wierzyć, że ma do tego prawo”.

Przy „Świętej nocy” Michała Szachowicza należy przede wszystkim podkreślić range przekładu. Szachowicz, podobnie jak Nadzieja Artymowicz pisze w języku białoruskim. Umiejętności translatorskie Jana Leńczuka pozwoliły wydobyc z wierszy ładunek dramatyczny człowieka osaczonego przez życie, skłonnego do mityzmu i sojuszu z przyrodą, rozdartej przez niepokój wewnętrzny, który

Przy „Świętej nocy” Michała Szachowicza należy przede wszystkim podkreślić range przekładu. Szachowicz, podobnie jak Nadzieja Artymowicz pisze w języku białoruskim. Umiejętności translatorskie Jana Leńczuka pozwoliły wydobyc z wierszy ładunek dramatyczny człowieka osaczonego przez życie, skłonnego do mityzmu i sojuszu z przyrodą, rozdartej przez niepokój wewnętrzny, który

W wigilię popołudnie 1948 roku o- trzymałem rozkaz: „Zabrać makę z młyną”. Od sąsiada pożyczylem piękne konia, „Siwego”, naj- lepsze sian „harodczyk”, a przy- kazki zabrałem kilka worków zbo- ża, aby zemię na ożywić.

Bardzo dobrymi punktami kontaktowymi były podczas okupacji sklepy, poczekalnie leżące, różnego rodzaju warsztaty usłu- gowe — miejsca, gdzie czuła obecność mogłaby być czymś uzasadniona. Najbardziej dogod- nym miejscem naszych spotkań konspiracyj- nych był młyn pana Matysa.

Wprawdzie w okolicy były jeszcze dwa młyny — pana Blecharczyka w Łososinie Ma- lej oraz pana Zylńskiego, tuż za Kuźnicą, to jednak z pewnych względów, o których nie będę się rozwodził, dla nas liczył się tylko i wyłącznie młyn pana Edwarda Ma- tysa, zwłaszcza, że jego dwaj pasierbowie — Zenek i Kazik Rudzikowie — byli najbardziej zaangażowani w pracy konspiracyjnej. Rodzina ta wykazywała się niezwykłą gościn- nością i serdecznością. Stamtąd nikt nie wy- szedł bez poczęstunku — solidnego „młyn- skiego” obiadu. Tam w młynie, w halasie maszyn, w ludzkim rozmowach koło „koszy”, można było spokojnie, z workiem pod pachą, całymi godzinami na kogoś wycekiwać, nie będąc przez nikogo zauważonym i nie bu- dząc najmniejszego podejrzenia. I co naj- ważniejsze można było bez zwrócenia na sie- bie najmniejszej uwagi przywieźć ze zbo- żem i wywieźć w worku z maką zakazane rzeczy — nawet o większych gabarytach. Tam, w młynie, posiadającym własną i jedną, w miasteczku elektryczną, można było na- dawać akumulator, stamtąd zabierało się „ga- zetki” i broń, tam też była gielda ostatnich wiadomości pochodzących z nasłuchów ra- diowych i kontaktów z przedstawicielami podziemia, od których szły zlecenia, rozkazy, ostrzeżenia.

Znałszy wszystkich miejscowych szpie- łów i pozwalając im żyć dopóki nie przeho- wali w swojej gorliwości. Niektórzy szpie- łowie podjęli nas o działalność konspiracyj- ną, ale nie osłaniali się nas zadenuncjowa- ciami, w obawie o swoją głowę. Domyślali się, że mamy wytyczki w Ammiskomisariacie i w żandarmerii, ale nie wiedzieli, że posiadamy drugie komplety kluczy do szaf, biurka a na- wet do kas pancernych w obu tych urzę- dach. Na wypadek większej wsty, uwiezie- ni w areszcie gminnym zostali by uwolnieni, a szpiele zlikwidowani. Mając „wytyczkę” na poczęcie w osobie Włodki Sajko, wiedzieli- my o wszelkich donosach i ich nadawcach. Czuliśmy się zatem dość pewnie.

Wprawdzie właściciel młyna, pan Edward Matys, był jednego razu zabrany jako za- kładnik i zatrzymany w więzieniu białostoc- kim, ale chyba tylko w tym celu, aby spraw- dzić czy nie zdradzi się jakimś niepokojem, wysłanym grypsiem itp. Nie zdradził się i szczęśliwie powrócił na dawne miejsce pra- cy. Dzięki ustawicznemu harcowi łapówek w postaci wędzonek i bimbru, zyskał nawet zaufanie u samego Ammiskomisarisa Hoyer- a, a z komendantem żandarmerii pan Edward był w zażyłych, wręcz poufanych stosunkach. Nie naczyli bowiem odważyli się pokiepać komendanta żandarmerii po plecach, ozna- mić mu, że jest tajną, ponieważ nie jest na- froncie, gdzie walczy prawdziwi mężczyźni dla dobra Wielkiej Niemiec. Miał tupej pan Edward. I szczęście. Pamiętam jak często biegał do maszynowni i bardzo dokładnie zo- rował ręce mydłem. — Witałem się z ko- mendantem — poznajmy.

„Dlatego też punkt „w młynie” znany był jako miejsce tylko u pana Edwarda Matysa, chociaż w okolicy były jeszcze dwa inne młyny. Z biegiem czasu wszyscy znali się tak dobrze, że nie starali się nawet zachowywać pozorów konspiracji. Często też „gazetki” by- ły czytane wspólnie w młynie, jak „za pol- skiego”. Tam też, w dość prosty sposób, wer- bowano do konspiracji. To była „Młynska Rzeczpospolita”.

Było piękne, słoneczne popołudnie. Puszy- sty śnieg iskrył się miliardami iskier. Spa- siony, wynudzony w stajni „Siwy”, niósł z pagórka leciutkim kłusem, wesoło parszając — co, jak wiadomo, jest nieomylną oznaką powodzenia w podróży. — Zdrow, zdrow — odpowiadałem uradowany, zgodnie ze zwy- czajem, na każde jego parskanie. Gorzej byłoby, gdyby w takiej misji koń zaczął par- skać „pod górę”, albo już, nie daj Boże, jesz- cze przed wyruszeniem z podwórka.

Moje zboże bez kolejk powędrowało win- dą do „koszy” i zaraz do worków spayała się przypałona ogromnym, wirującym kamie- niem, maką. Na podwórku nie znalazłem swoich sań. Siały on w stodole, a przy nich „lipną” tabliczka tożsamościowa. Nazwałem się już „Czesław Sawoszycki” — pochodziłem ze wsi „Szczuśnikowice”, a dalej to już było wszystko jak należy: „Gemeindeamt Kuźnica, Kreis Sokółka, Bezirk Białystok. Każdy żandarman polubiłby język czytając ta- kie dane personalne, a już z całą pewnością nigdy ich by nie zapamiętał.

— Oho — pomyślałem — zanosi się na ja- kąś poważniejszą historię, skoro zmienili mi skórkę. Ale właściwego bagażu jeszcze nie by- ło. Napoleon Siwego, podrzuciłem mu koni- czynę i wróciłem do maszynowni. Przyznam się, że nie bardzo mi się chciało opuszczać to ciepłe miejsce. Przyjemnie pach- niało smarem spoczonego Diebla, który leciut- ko, jakby od niechcenia, klaskając transmi- syjnymi pasami, obracał potężne młynskie kamienie. A zwłaszcza, że tam zostało dobrej samogonki i, co było dla mnie wy- siedlone, bez domu, nie bez znaczenia, nie- zgorzej zakąski.

Spojrzałem przez okno: już się ściemniało, a na dworze zaczynała hulać taka zawiru- cha, że światła Bożego nie było widać. Przy sianach jakiś nieznan mi osobnik wsunął do kieszeni mojej sukmany nowiu- kie „parabellum”. — Jest naładowany, spraw- dzony i zabezpieczony — powiedział szeptem. Pod workami masz „kilonie” i „dziadka”. Zajedź na podwórko Michała Tulkisa — „Michalki” — wiesz, ten niewidomy na jed- no oko, a on już będzie wiedzieć dokąd ma iść dalej. Gdybyś spotkał żandarman, to udawaj że śpisz, albo drzemiesz po pilanemu. Przyjdzie ci to tam łatwiej, bo czuje, że już masz oddech trochę „wzmocniony”. Zresztą, wcale nie zwróca na ciebie uwagi, a tylko na tak ładnego konia jak „Siwy”. Niemcy lu- bią dobrych gospodarzy. No, to sarwas, spo- kojnych Świat — rzucił na pożegnanie. — Ah, a w razie czego, to najpierw zastrzel konia, aby nie wrócił do swego gospodarza i nie wskazywał drogi.

Udałem swobodną wesołość, ale jakoś mar- kotnie mi się zrobiło na myśl, że oto może zdarzyć się taka okoliczność, w której będę

musiał temu pięknemu „Siwemu” strzelić w łeb, dlatego, że, zwracając instynktownie pamięć drogę do domu.

We wsi Kowale było już zupełnie ciem- no. W niektórych oknach widać było posta- cie krzątające się wokół wigilijnego stołu, w innych jarzyły się choinkowe świeczki i słychać było koleje. Zrobiło mi się jakos chłod- no, mimo że byłem ubrany w grubą suk- manę na koczku, walonej i ciepłej futrzanej czapki. Z całą pewnością wyglądałem na sta- rego „dziadka”. Lekko traciłem leje i „Si- wy” zaczął truchcieć biegiem znana drogą do domu. Zadymka ustawała. Wiedziałem przed sobą szeroki dół konia. Na tych bochenkach swobodnie mogłoby położyć się dziecko. Nie- bo przejaśniło się i wśród ogromu gwiazd wyraźnie zaznaczała się Wielka Niedźwie- dzica. Gwiazda Polarna wisiała nad skraw- kowym strzępem naszej umęczonej Ojczy- ny. Wieczór wigilijny... Już to Polaków, roz- sianych po całym świecie, w ten świąteczny wieczór jest myślą przy nas, w kraju, z na- jbliższymi, z rodziną, już to ludzi myślą przenosi się do rodzinnych kątów poprzez mury więzień, druty obozów. A my tu, w kraju, chcieliśmy się przemieścić tam, gdzie otwarcie biją wroga.

Tuż za Kowalami Siwy nieco zwinął bie- gu i zaczął parskać. „Pod górę”, pomyślałem trwożliwie. Odruchowo sięgnąłem do kiesz- ni sukmany i teraz dopiero przypomniałem sobie o istnieniu „parabellum” i o właści- wym celu mojej podróży. Chociaż nie roz- stawałem się ze swoją „FN-ką”, to jednak poza „Visem” najbardziej lubiłem właśnie „parabellum”, w moim przekonaniu broń najmniej zawodną. Z przejmowaniem prze- siewałem w kieszeni dzwignię bezpiecznika, tam i z powrotem — tam i z powrotem. Z lubo- ścią bawiłem się tą maszynką i skondensowa- ni w nabojach wielokrotną śmiercią, chociaż przez myśl mi nie przechodziło, abym mógł jej użyć.

— Ale co to? Poprzedni głos dzwonka przy mo- ich saniach daleko się słyszał w oddali, gdzieś może koło Zajzdy, albo nawet już i koło Sterpejki, jakby zwiokłotnione jego echo. Przechyliłem czapę z ucha i wysunąłem się nieco z sań. Z pagórka, koło „Gruski” obok kolonii Kowale, gniała z wielką szybkością kawałkami sań z podrobnymi, przy których wyraźnie sterowały lufy karabinów.

Zgodnie z przyjętym na wsi zimowym ko- deksem drogowym, to oni powinni ustąpić

mi z drogi, zwłaszcza, że ja jadę z ciężarem i pod górę. Ale ja nie czekałem na to i jak tylko mogłem starałem się skierować „Siwe- go” z drogi, który niechętnie wpadał w zas- py, mając za sobą to konskie doświadczenie, że zaraz zapadnie się po brzuch w pyłkim śniegu, skąd później tak trudno będzie wy- ciągnąć naładowane sianie, a z całą pewno- ścią zatrutę sobie przednie nogi hacelami tylnych kopyt.

— Hej tam, na bok! Z drogi! — poznałem zaplaczony głos Szoki, osobistego tłumacza Ammiskomisarisa Hoyer, który w przyste- pie dobrego humoru, zwracał się pieszczot- liwie: Wo ist mein Hund?

Oho, jest i komisarz — pomyślałem i tym gwałtowniejszym skreśliłem „Siwego” w bok dro- gi, aż ten zapadł się po sam brzuch w śnie- gu, a wraz z nim pochylili się sianie. Zda- zylem zeskoczyć, ale już nie mogłem przy- wrócić zachłanej równowagi saniom, z któ- rych jeden po drugim zsuwały się worki z maką. I „to”, co było na spodzie sań, w takiej sytuacji znalazło się na wierzchu.

Pijani żandarman wylży z uciechy, a później zaczęli strzelać z pistoletów na wiat, co zupełnie już sposoby mojego, bardzo spo- kojnego konia. Mignęły jedne, drugie, trze- cie sianie zresztą wcale nie miałem ochoty je liczyć, cieszyłem się w duchu, że szybko mnie mijają i pojedą w diabły, czego im z całego serca życzę.

— Ale — co to? Dzwonek jednych sań jakby zamikł, zamari w próżni: ostatnie sianie za- trzymały się i wysiadły z nich młody, smukły oficer w dopasowanym płaszczu, w wyso- kich, błyszczących butach z cholewami i wy- raźnie zmierział w moim kierunku. Z ser- decznym, jak pociągającym, szerokim uśmie- chem nieco rozbawionego, a dobrze podpięto- faceta, najpierw pomógł mi odwrócić sianie, później właśnie wziął za uźdę „Siwego” i wyprowadził go na ujeżdżoną drogę. Ze zjawstwem obejrzał przednie, tak jak przy- puszczam, zatrutowane kopyta i polecił mi, abym po powrocie do domu oparzył mu ra- ny. Przecież Niemcy bardzo dbali o zwie- rzęta i niezwykle troskliwie obchodzili się z nimi. A następnie, bez większego wysiłku brał wraz ze mną 80-kilogramowe worki z maką, brnął po pas w śniegu i rzucał na sianie.

— Ich danke Ihnen sehr! Ich mache dass selbst — błagałem, ale oficer niemiecki był grzeczny i uparty.

— Ach — Dass macht nichts. Ich helfe Ihnen gern — odpowiedział z uśmiechem i zwrócił po ostatni work. Miałem wówczas 30 lat. Byłem może nie tyle silny, ile za- prawiony w ciężkiej pracy fizycznej, tak że stukłogromowy work ze zbożem z łatwo- ścią zdejmowałem w młynie z windy i wno- siłem na sianie. Ale tu nosiliśmy z Niemcem worki po pas w śniegu. Aby nie powalać się maką, Niemiec uniósł ostatni work ponad głowę i jak ciężarówkę kroczył w kierunku sań.

— Hans is ein Mueller — Seh mal! — Hans Mueller! — sztydził rechocząc Niemcy na saniach.

Hans jakby trochę się zdetonował, zawsty- dził i już miał wrócić do swoich sań, kiedy zobaczył na śniegu porzucony „snopek słony”, podczas gdy ja usiłowałem utrzymać zniecierpliwionego „Siwego”, a nie miałem za co zaczepić leje. Hans był już blisko „snočka”. W jednej chwili byłem przy nim. — Ein Augenblick — moment — i coś tam jeszcze zaczął szwargotać, kiedy zamari w bezruchu i ja razem z nim.

Ze „snočka” wyglądało około dziesięciu lub karabinowych. Krótkich, kawalerskich mauerów, które złowrogie, błyszczały w świetle księżycy. „Diegtiarew” był zupełnie zaspany śniegiem.

Poprzednie furmanki, towarzyszące tej es- kapadzie, już dawno minęły wieś Kowale, a widząc jarażące się choinki, pijani tandar- man darli się na całe gardło: Stille Nacht — Heilige Nacht, strzelali z automatów: my staliśmy na wpół zgięci, pochyleni nad owym

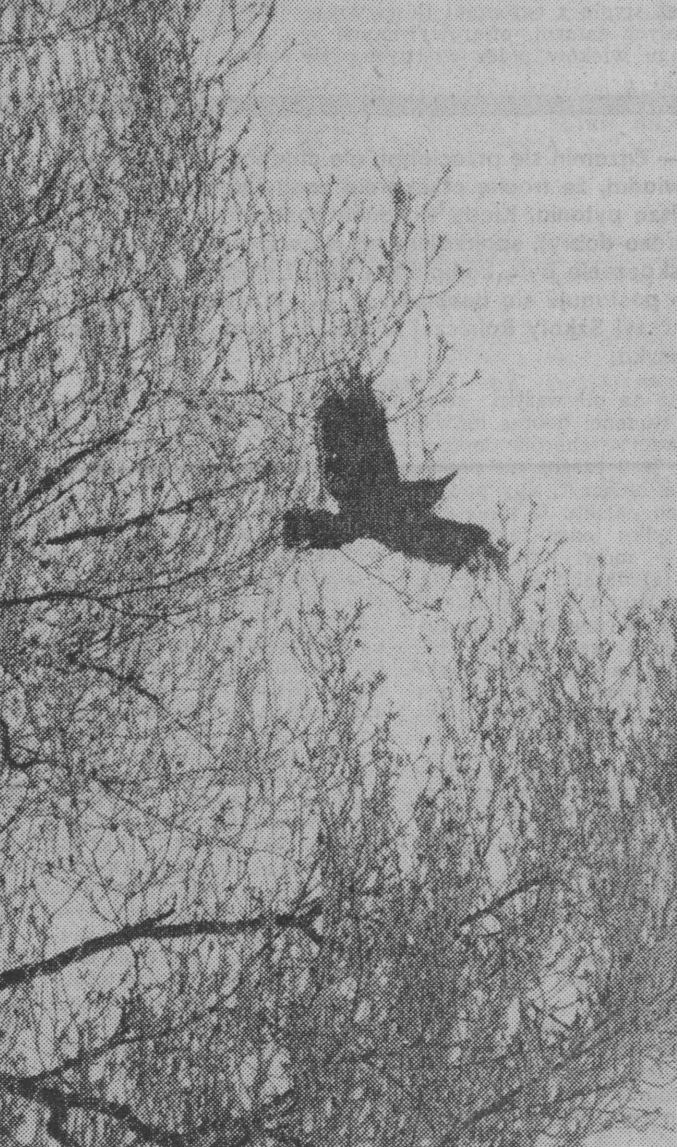
„snopek”. Zaden z nas nie drgnął. Nie próbował najmniejszego ruchu. A tamci, któ- rzy pojechali nie zatrzymując się, rycieli już „Stille Nacht” chyba gdzieś koło Popowej Góry.

Wreszcie Niemiec wyprostował się i bez słowa, bardzo powolnym krokiem, brnął po śniegu w kierunku swoich sań. „Przebrałem” pomyślałem ze złością. Zdecydowanie prze- grałem tę partię. A przecież mógłbym ja rozegrać przynajmniej remisowo: ja Jego, a oni mnie. A teraz to oni, nawet nie schodząc z sań, położyli mnie jak kuropatwę, a ja żad- nego z nich nie zdążyłem zastrzelić. A może oni będą śledzić dokąd ja pojedę, komu to powie, aby wykryć całą organizację? A mo- że zechcą wziąć mnie żywcem? Nie, żywcem to oni mnie nie wezmą: to już jest pewne.



Rozmach czy dreptanie

ku, że obrady poświęcone rozwojowi kultury w Su- wałkach do 1985 roku były konstruktywne, a dyskusja ciekawa. Podtrzymuje to, ponieważ mówiono tam naj- więcej o zamierzeniach re- alnych. Za takie trzeba bo- wiem uznać plan moderniza- cji klubu „Suwalszczyzna”, rozbudowę biblioteki woje- wódzkiej, przystosowanie lokalu na klub MPIK, wy- kwatrowanie kilku lokato- rów z pomieszczeń Muzeum. Realnie też brzmia obietnica powołania do życia średniej szkoły muzycznej. Wyda- ło się też, że kilkanaście mies- kań w ciągu kilku lat dla- ludzi kultury także nie prze- kracza możliwości miasta. Konstruktywnie zabrzmiały głosy o potrzebie lepszego wykorzystania tego, co już jest. Jest to bodaj najcen- niejsze, bo powiedziano na- reszcie wyraźnie, nie cho- wając się za parawan obiek- tywnych trudności, o wielu niedomogach. Rzecz dotyczy chociażby wspomnianego klubu „Suwalszczyzna”, a



W Japonii jest całe mnóstwo świąt. Państwowe i regionalne, tradycyjne i świeckie, nie mówiąc już o rodzinnych. Nowy Rok i Dzień Niepodległości, święto wiosny i jesieni, dzieci i starszych, sportu i kultury, urodziny cesarza, wielkie dni miasta Osaka i święto obcinania jelenich rogów w Miyaima. Każda sintoistyczna świątynia obchodzi także raz albo dwa razy do roku tzw. *matsumi*, a takie święto rzadko tylko trwa jeden dzień.

Bożego Narodzenia Japonia nie świętuje, bo liczba chrześcijan jest tam znikoma, ale mieszkańcy wysp przyjęli gwiazdkowe zwyczaje: choinki, ofiarowanie sobie prezentów i przesyłanie życzeń. Już dwa miesiące wcześniej wszystkie handlowe centra są okazjnie udekorowane, skrzępie bożonarodzeniowe drzewka, Mikołaje stęskają pod worami pełnymi podarunków, migają świetlane napisy „Merry Christmas”.

Byłam w Japonii w listopadzie podczas święta Shichi-Go-San, co znaczy dosłownie siedem-pięć-trzy, czyli święta dzieci w wieku trzech, pięciu i siedmiu lat. Jak już wspomniałam, w japońskim kalendarzu figuruje także Dzień Dziecka, dedykowany — podobnie jak u nas — wszystkim najmłodszym, i oba te święta odzwierciedlają doskonale wielką miłość i troskę okazwaną milusińskim na każdym kroku. Zawsze z przyjemnością obserwowałam także obrazki: w wielkich magazynach, na plenerach z zabawkami, maluchy czują się jak u siebie w przedszkolu, rozkładają na posadzce klocki, nakreślają samochodziki, toczą piłki. I nikt im nawet nie rzuci krzywego spojrzenia.

Ponadto świętowałam razem z tokijskimi dziećmi dzień dziękczynienia za pracę, 23 listopada.

— Teremitsu-san, co robisz w twoim rodzaju? — spytałam swojego przewodnika, nawiasem mówiąc świetnie władającego polskim, jako że ukończył ekonomię na Uniwersytecie Warszawskim.

Teremitsu rozjaśnił się cały w uśmiechu i odparł krótko:

— Spia.

I to jest prawda. Pracujący ciężko i bardzo solidnie na co dzień, obywateli Kraju Wschodzącego Słońca poleniuchować mogą tylko trochę przy takiej okazji.

Ale to jest jedyna prawda. W święta Japończycy odwiedzają także świątynie.

Kasuga-jinja to sintoistyczna świątynia w Nara, pierwszej oficjalnej stolicy Japonii, stałej rezydencji cesarza w latach 710—782. Poświęcono ją mitycznemu przodkowi słynnego rodu Fujiwara, bogu Ame-no Kojane. Zgodnie z japońskim stylem przy jej wznoszeniu zwracano uwagę nie tyle na okazistość budowli (jak np. w wypadku buddyjskich pagód), ile na wkomponowanie w krajobraz, harmonię z przyrodą. Udało się to nadzwyczajnie, od świątyni tej wziął nazwę styl „kasuga”, a pierwowzór podziwiany jest od z górą dwunastu stuleci.

Świątynia leży na zboczu góry. Idzie się do niej bujnie rosnącym lasem. W listopadzie drzewa okryte są jeszcze liśćmi, tyle że nieco przyżółkły lub zabarwione na czerwono. Po obu stronach głównej alei biegną ścieżki i drożki, wzniesione schody i stopnie, wśród których wyrastają setki kamiennych latarni. Tych latarni, które tak bardzo wrosły w japoński krajobraz, które zdobią do dziś każdy park i skwer, stoją w przydomowych ogródkach, nawet tych mikroskopijskich, nawet na balkonach.

Setki latarni, niby takich samych, a każda inna, wyższe i niższe, z otworami kwadratowymi, owalnymi i prostokątnymi. Dwa razy do roku, gdy w Kasuga-jinja obchodzone są święta, latarnie rozblaskują ognikami. Te kamienne, w lesie, a także tamte z brązu, równie piękne, wiążące już w samej świątyni. Wieczorem, gdy zapada zmierzch, jakż musi być tu wspaniały widok!

Nie udało mi się zobaczyć zapalonych latarni ani w Kasuga, ani w Sumiyoshi w Osaka, która to świątynia, poświęcona bogu morza, również słynie z ogromnej ilości wspaniałych latarni, ofiarowywanych w ciągu wieków przez wiernych, tyle

że tutaj byli nimi marynarze i armatorzy.

Miałam za to inne szczęście. W Nara przebywałam w święto Shichi-Go-San, a świątynię Kasuga upodobały sobie w ten dzień do odwiedziny rodziny z dziećmi — solenizantami. Aleja, wśród kamiennych latarni, kroczyli dostojnie trzy-, pięcioletni i siedmiolatki, niemal wszystkie w pięknych, tradycyjnych kimonach, u dziewczynek bajecznie kolorowych, w drewnianych trepkach geta, z prezentami w rękach. Mamy, strojące świąteczne swoje pociechy, nie oparły się pokusie i też włożyły swoje najpiękniejsze kimono, okryły kilkunastometrowymi pasami obi, upięły kunsztowne fryzury i przystroili je grzebieniami, szpilami, koralikami, kwiatami.

A nieszczęście we współczesnej Japonii odnalazłam to, co w stereotypach przywykłym uważa się za cha-

rakterystyczne dla Kraju Kwitnącej Wiśni. Gejsze, riksze, kimono.

No właśnie, chociażby kimono. Na co dzień noszą je już tylko ludzie, dla których jest ono strojem, nazwijmy to — służbowym. Hostessy w eleganckich firmach i lokalach, kelnerki w drogich restauracjach, aktorzy. Przeciwnie Japończycy wkładają je tylko od święta, ale obowiązkowo na uroczystości rodzinne, jak chociażby wesela. Jeśli ktoś nie ma kimono, idzie do wypożyczalni.

Na co dzień Japończycy chodzą w garniturach, koszulach i krawatach, są schludni i elegancy. Japonki ubierają się modnie i praktycznie, rzadko też noszą długie włosy, a gdy potrzebny im do kimono kunsztowny kok, korzystają z peruki.

Oczywiście, oczywiście w kimonach chodzą na co dzień także gejsze. Ale jakże trudno zobaczyć dziś

gejsze! Tych dam do towarzystwa, bardzo wykształconych (są pomocą specjalistkami nawet w dziedzinie elektroniki) jest coraz mniej.

Trzeba pochodzić wieczorem waskimi uliczkami Kioto, drugiej historycznej stolicy Japonii, w której znajduje się ostatnia już szkoła adepty tego zawodu. Przy odrobinie szczęścia można trafić na gejsz w riksze.

Bo riksza to już także relikty przeszłości. Te lekkie wózki na dwóch kółkach, ciągnięte przez człowieka, są w Japonii taką samą rzadkością, jak u nas konne dorożki.

Poza Kioto riksze widziałam w Tokio, na placu przed Pałacem Imperatora, dokąd obowiązkowo zawozi się wszystkich wycieczki. Można by powiedzieć, że była to jedyna godna obejrzenia rzecz na tymże placu, bo siedzący cesarz nie mówiąc już o samym cesarzu, przed okiem wspaniałych skutecznie chronią wartownicy, fosy i wysokie nasypy. Jednakże rozciągający się stamtąd widok na nowoczesne tokijskie centrum oraz oryginalna zielen skwerów i nasypów, malowniczo rozmieszczone kępy drzew i krzewów, nie pozwalają tak naprawdę na podobne stwierdzenie.

Wróćmy jednak do świąt. Dzień dziękczynienia za pracę wypadł akurat w piątek. Potem była sobota, dla większości Japończyków wolna od obowiązków zawodowych, no i wreszcie niedziela. Trzy dni na odpoczynek, na spacer. Stołeczne świątynie: największa Meiji (poświęcona cesarzowi Matsuhiro, zmarłemu w 1912 roku i jego żonie, cesarowej Shoken), bodajże najpiękniejsza ku czci bogini dziękczynienia Kannon w Asakusa i tużin innych, zapelniały się Tokijczykami, których dzielnie wspierali turyści. Ale rekordy frekwencji nie padoły, gdyż to nie były dni aż tak bardzo zobowiązujące do tradycyjnej pielgrzymki do świątyni, jak na przykład Nowy Rok. Czytałam gdzieś, iż w któryś dzień Nowego Roku świątynię Meiji odwiedziło milion osób!

Zadawałam często pytanie, czy Japończycy są religijni i zawsze słyszałam odpowiedź, że nie i wyjaśnienie, które uprzedzało dalszą indagację: ale są przywiązani do swoich tradycji, w których ważną rolę zawsze odgrywała religia. Jeśli nawet treść przestaje być coraz mniej ważna, pozostaje rozbudowana forma obrzędu.

Ta tradycja to przede wszystkim poszanowanie przodków, za którym idzie skomplikowany ceremonial pogrzebowy, to koegzystencja sinto i buddyzmu. Wszystko to łącznie z całym mnóstwem systemów religijnych i organizacji religijno-społecznych jest dość skomplikowane i trzeba sięgnąć do dobrej lektury, aby co nieco zrozumieć.

Obserwując przychodzących do świątyni Japończyków często też byłam przeświadczona, że robią to ze względu na piękne parki, otaczające z reguły zarówno obiekt kultury sinto jak i pagody. W zurbanizowanej Japonii taka oaza zieleni jest czymś nadzwyczaj cennym, miejscem chętnie odwiedzanym.

Przy okazji świątynnych odwiedzin Japończycy chętnie kupują wroźby, przepowiednie, horoskopy. Turyści zresztą także, a przeznaczone dla nich kartki mają angielskie napisy. I chociaż zdolano już zainstalować automatycznych wroźbiów, za jedne 200 jenów uchylających rąbek tajemnic, „prawdziwe” wroźenie wygląda tak: potrząsa się drewnianym owalnym pudłem tak długo, aż przez otwór wypadnie paleczka z numerem, po czym kupuje się kartkę tak samo oznaczoną. Jeśli wroźba jest nieomyślna, kartkę zwija się i przywiązuje do gałązki drzewa przy świątyni, aby raz na zawsze nie dopuścić do jej spełnienia się. A potem, na wszelki wypadek, kupuje się talizman od nieszczęśliwych wypadków przy pracy, kraksy samochodowej, trzęsienia ziemi...

Swoją wroźbę otrzymałam w Kasuga-jinja w Nara, uważałam za tak optymistyczną, że oszczędziłam od oszpececia krzak przy kamiennych latarni. Motto horoskopu brzmi mniej więcej tak: „Fortuna kołem się toczy, ale dla ciebie obróci się na dobre”. Przepowiednia zawiera całkiem poetyczne metafory: „poznasz szczęście podobnie jak ptak wyzwolony na nowo z klatki, pozostawiając za sobą troski niepokojące”.

ANIELA ŁABANOW

Trochę Budapesztu



Wzgórze Gellerta — z lewej supernowoczesny hotel Hilton, obok historyczna baszta rybacka.

Węgry, to przede wszystkim Budapeszt. Jedna z najpiękniejszych stolic Europy. Jego położenie nie ma równego sobie. Sporyjny urok daje jej ciekawe połączenie przeszłości z dniem dzisiejszym. Główny ośrodek życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego kraju.

Stolica ciągnie się wzdłuż 30-kilometrowego odcinka Dunaju. Część miasta, położona na prawym brzegu rzeki to Obuda i Buda. Wzgórze otaczają masywne półkole, a wśród nich góra Gellerta, góra wolności, wzgórze Róż, góra Trzech Granic. U podnóża gór tryskają źródła wód leczniczych. Jest ich ponad setka. Lecz główną atrakcją strony budapesteńskiej jest góra zamkowa. Najstarsze zabytki pochodzą tu z XIII wieku. W Pałacu Badańskim zlokalizowano galerię narodową. Nie sposób nie wspomnieć o parlamencie — ośrodku życia państwowego Węgier — przy Placu Bohaterów, przy którym mieści się Mu-

zeum Sztuk Pięknych, odpowiednik naszego warszawskiego Muzeum Narodowego.

Spotkać tu można rzeźby i plłota takich sław jak: Michał Anioł, Tintoretto, Raffaello, Tycjan, Rembrandt, czy Durera. Ze współczesnych — Picassa, Moneta. Wszystkie te wspaniałości oglądać turyści odwiedzający Budapeszt. Szkoda tylko, że programem nie odbiegają od utartego schematu: Budapeszt — Balaton i ewentualnie Visegrad — Esztergom — i to wszystko w cztery dni. Gros indywidualnych turystów polskich po przyjeździe pociągiem na oślawiony w przekazach „z ust do ust” dworzec wschodni czyli Keleti krąży przeważnie metrem między placem Moskwa, domem towarowym Corwin i wspomnianym już dworcem.

Tekst i zdjęcia: G. Lorinczy



Rzeźba „Kelnerki” zachęca turystów do odwiedzania miejscowych winiarni.

— Egzamin się przeciągał, ale chłopak tak błęgie odpowiadał, że trochę przekorne zadawałem coraz trudniejsze pytania. Kiedy w końcu postawiłem „wybory” (bardzo dobry), spojrzałem na pierwszą stronę indeksu. Zaskoczenie było kompletne: polski student, a słowackim posługuje się bezbłędnie — powiada prorektor Wyższej Szkoły Rolniczej w Nitrze, prof. inż. Stefan Hraszka.

— Już na pierwszym roku polscy studenci dobrze mówią po słowacku, chociaż dopuszczamy, jeśli czegoś nie potrafią przetłumaczyć, aby powiedzieli po polsku. U mnie był chyba tylko jeden taki przypadek — mówi kolejny prorektor tej uczelni — doc. inż. Dusan Szimo. — Wynikami w nauce rzeczywiście imponują. Średnia ocen wynosi 4,7. Lepšie nieco słownie mają polskie, ale panowie przewyższają je tzw. rozległymi horyzontami.

Konsul Generalny w Bratisławie — Marian Miśkiewicz znajduje uzasadnienie doskonałych wyników w nauce naszych studentów. — Tutaj przyjeżdżają najzdolniejsi, po ostrej selekcji.

Miejscowi kandydaci na studentów także przechodzą selekcję: co roku o dziesięć tysięcy indeksów w Słowacji ubiega się 20 tysięcy chłopców i dziewcząt. System przyjęć skonstruowano tak, że 65 proc. miejsc zarezerwowano dla młodzieży pochodzenia ro-

— Rzadko chodzimy do knajpek, lepiej tutaj wypić kilka piw — proponuje Wiesiek Pluskota, przewodniczący ośrodka SZSP.

— Już dwa lata kieruje organizacją SZSP. To dosyć, niech teraz młodzi popracują społecznie. Może coś ciekawszego wymyślą, coś weselsze-

— Statutowo mamy obowiązki organizować imprezy kulturalne. I to robimy, ale czy tak dalej będzie, wątpimy. Głośno było o „Dniach Polskich” w Nitrze. Popularne są nasze „Andrzejki”. „Przywitania wiosny”, „Topienie Marzanny”, uroczyste bale. Ostatnio mieliśmy „pieczenie bara-

go, bo trochę się tu nudziły. Z boku, jakiś chłopek przeciwstawia, że przez wiatr, choć Pluskota sam twierdzi, że dostał w drodze demokratycznego głosowania, jedną z trzech przydzielonych w tym roku studentom polskim w Czechosłowacji promes, i pojechał do RFN. Wrócił „garbusiem”.

W sytuacji jak Wiesiek, jest jeszcze dwóch, którym rodzice zafundowali małe fiaty. Ale nie ma tu takiego, który by nie narzekał na oderwanie od kraju. Do domów chcieliby jeździć przynajmniej raz na miesiąc...

Za piętnaście trzecia wraz z Anią Przeworską chcą przejść przez portiernię „damskiego”. Portierka nakazuje kwadrans czekać.

— Porządek musi być. Jak to, mężczyzna będzie się krecił pośród młodych dziewcząt?

O 15-tej zostawiam paszport na portierni i jestem w akademiku żeńskim. Ania mówi: na dziesięć pięter — jedna pralka, w bocznych kontaktach brak prądu średnio pięć godzin dziennie i to akurat wte-

dy, gdy chcemy zaparzyć kawę, herbatę... (Prorektor Hraszka: obowiązują oszczędności energii. Limit poboru prądu przekroczyć nie możemy. Prac można na przykład w miejskiej pralni).

W bloku mieszka około 1200 dziewcząt. Na pierwszym i drugim roku studiów po trzy lub cztery w pokoju, później — w jedno i dwuosobowych. Ania Przeworską zajmują pokój z Elą Sabik. Dwie szafy, dwie wersalki, lampki nocne, szafki, półki, zlewomywak oraz radio i magnetofon — ale to już własne. Sciągnięte plakaty, między nimi

— pejsze. Czysto i przyjemnie.

Pokój Lidki Durskiej zdobią fotki polskich koni („hip-pika jest moją pasją, dwa lata pracowałam na „Śluzewcu”), natomiast cztery ściany Majki Jurewicz i Zosi Potrykus wytapetowane plakatami dziewczęcych twarzątek autorstwa

koron miesięcznie — to sporo. Mam też okazję zgłębić życie społeczno-kulturalne Słowacji. Każda z tych dwudziestokilkuletnich dziewcząt żyje własnymi planami. Ela Sabik wkrótce wyjedzie za Ondreja Pavelkę, Słowaka węgierskiego pochodzenia. Niebawem kończą studia. Ondreja czeka roczna służba wojskowa, Ela zaś na ten czas patrzyła sobie pracę w rodzinnych, wielkopolskich stronach. Ale tylko przez rok, kiedy Ondrej będzie musztrowany. W tym okresie chciałaby jak najwięcej zarobić, bo czeka ją spłata kosztów kształcenia. Około 120 tys. złotych.

Rektor będzie to chyba drugi taki przypadek mieszanego małżeństwa.

— Mój narzeczony — mówi Ania Przeworska — studiujący technologię żywności w Budapeszcie, zaprosił w tym roku do kraju kolegę z Anglii, też studenta. Otóż ten Anglik z pasją rankiem wybiegał na wiosek i pstrykał zdjęcia chłopom ciągnącym krowy na postrońkach. Był zachwycony, że my tak bydo kochamy, wyprowadzając je codziennie na spacer.

— Tenci w Nitrze nie ukrywają: niejedyną asystentką przekąsem wspomina im, że mają w kraju prawie że kapitalistyczną strukturę rolnictwa. W ubiegłym roku zorganizowali spotkanie ze znanym

redaktorem z „Polityki” i zapytali go wprost: jak odpowiednio reagować na te pytania? Redaktor Szeliga odpowiedział im tak: nie ma się dokąd śpieszyć. Poziom rolnictwa wielkotorowego, zwłaszcza efektywność gospodarowania, nie dorównuje, niestety, jeszcze czołowiec skapitalizowanej części Europy...

No właśnie, a co oni myślą o naszej gospodarce żywnościowej?

Lidia Durska. Trzeba jak najprędzej zlikwidować małe gospodarstwa i pozbawić ziem tych „działków”, którzy trzymają jednego konia i nie więcej, a produkują tyle, co sobie.

Maria Jurewicz — że tylko duże, gruba przesada. Trzeba chyba najpierw powiększyć gospodarstwa indywidualne, aby były tam pola o obszarze 20-30 hektarów, żeby duże maszyni mogły wydajnie pracować.

Jerzy Skóra — jestem pewien, że i gospodarstwa uspołecznione i indywidualne mogą też wytworzyć dużo więcej.

HENDRYK KIN

Uczyć się w Słowacji

KORESPONDENCJA WŁASNA

go, bo trochę się tu nudziły.

Z boku, jakiś chłopek przeciwstawia, że przez wiatr, choć Pluskota sam twierdzi, że dostał w drodze demokratycznego głosowania, jedną z trzech przydzielonych w tym roku studentom polskim w Czechosłowacji promes, i pojechał do RFN. Wrócił „garbusiem”.

W sytuacji jak Wiesiek, jest jeszcze dwóch, którym rodzice zafundowali małe fiaty. Ale nie ma tu takiego, który by nie narzekał na oderwanie od kraju. Do domów chcieliby jeździć przynajmniej raz na miesiąc...

Za piętnaście trzecia wraz z Anią Przeworską chcą przejść przez portiernię „damskiego”. Portierka nakazuje kwadrans czekać.

RELAKS

Królowa Marysienka i... jabłka

Jabłoń i jej owoce są znane od tak dawna jak sam świat. Jabłko stało się nawet „bohaterem” opowieści biblijnych, będąc przyczyną niezgody Adama i Ewy. Ile w tym prawdy — nie wiadomo, bowiem warzywnicy udowadniają, że w klimacie śródziemnomorskim, gdzie przebywali nasi protoplaści, „panującym” wtedy owocem nie było jabłko, tylko... pomidor. Trudno osądzić, jak było naprawdę, jednakże trzeba przyznać, że jabłka należały do tych owoców, które człowiek poznał we wczesnym stadium rozwoju swojej cywilizacji.

Roślina ta prawdopodobnie wywodzi się z Azji Mniejszej, gdzie spotyka się nawet teraz dziko rosnące sady. Pestki owoców jabłoni znajdują archeolodzy w osadach pochodzących z 5-4 tys. lat p.n.e.

Trudno dziś określić, kiedy jabłko zaczęło uprawiać na terenie Polski. Wydaje się jednak, że ta roślina rozpowszechniła się dopiero w wieku XVII. Sądząc o tym, że w tym czasie do tego królowa Marysienka, gdy kiedyś na wesoło do Zabrowa od kowala, u którego naprawiano jej powóz, otrzymała w poczekalni jabłko. Zachwyceni smakiem, usilnie prosili króla, aby pozostawił w Wilanowie drzewo, rosnące tak smaczne owoce. Król próbnie zadecydował. Kiedy po wielu latach oczekiwania przyniosła Marysienka w koszyku kilka jabłek, królowa rzekła: koszt tygiel! Od tego czasu zaczęto nazywać tę odmianę kosztela. (Z.L.)



Święt Bożego Narodzenia najbardziej oczekują dzieci.
Fot. — CAF

Gdyby nie Polak...

Jak się okazuje, sporo do zawdzięczenia polskiej wrażliwości muzycznej mają... Turcy. Podczas V Międzynarodowego Sympozjum Muzykologicznego w Bydgoszczy badacz z RFN — Kurt Reinhard przypomniał sylwetkę Polaka, Alberta Bobowskiego (ur. w 1620 r.), który przebywając w niewoli sułtańskiej, zapisywał europejską notacją — tureckie pieśni i utwory instrumentalne.

Zapisy Ali Ufki, tak bowiem nazywano w Konstantynopolu Bobowskiego, są najstarszymi dokumentami muzyki tureckiej w ogóle i mają nieocenioną wartość. Rękopis Bobowskiego wykorzystany został jak dotychczas — jedynie częściowo przez badaczy, a zawiera także ciekawe wzianki o życiu muzycznym na sułtańskim dworze w Konstantynopolu. (K.H.)

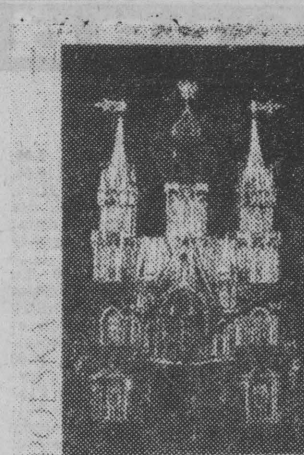
Duże wrażenie zawsze robią stroje wieczorowe. Wiele wskazuje na to, że nadchodzący karnawał upłynie pod znakiem czarnej sukni. Może być długa i mocno wydekoltowana, albo trochę do kolana, górą — na wążkach ramiączkach, lub ugrzeczniona — zapięta pod szyję.
Fot. — CAF

Święta i po świętach. Jak co roku. Z czasem przypomni o nich podarek, jaki dostaliśmy od krewnych i znajomych, bądź też kartka pocztowa. Czy zresztą można sobie wyobrazić święta, imieniny lub urodziny bez kolorowej wiodówki, z wypisanymi życzeniami i naklejonym, możliwie wyszukany znaczkiem pocztowym? Miłym wspomnieniem świątecznym może być rozmowa telefoniczna z kimś bliskim, a mieszkającym w odległych stronach. Oczywiście, w rozmowie pośrednikiem była poczta, bo jakże inaczej? Jak widać trudno sobie



wyobrazić święta bez pocztu, kart i znaczków. Przysparza to pocztę kłopotów, ale i znacznych dochodów. Ludzie piszą jak zawirowani, a pocztą zarabia. Na filatelistach — również. Od wielu lat zarządy pocztowe wydają okolicznościowe znaczki z okazji Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Oczywiście, oparte są one na motywach sakralnych.

Na znaczkach bożonarodzeniowych często nawiązuje się również do sztuki ludowej i folkloru. Na pol-



Święta i po świętach

skich znaczkach pocztowych możemy np. zobaczyć sławne na cały świat krakowskie szopki oraz obrazy malarzy ludowych. W zeszłym roku pocztą angielską wydano 4 znaczki, na których przedstawiono bożonarodzenie w świątecznym — kolednikach.

Chciałbym jeszcze parę słów powiedzieć o znaczkach bożonarodzeniowych, wydanych w Afryce, Azji, Oceanii, Ameryce. Jest na nich pełno egzotyki. Oto np. trzy znaczki, wydane przez

pocztę kanadyjską. Na jednym z nich widzimy cztery Indian w narodowych strojach witaających Jezusa, narodzonego — zgadliście! — w wigwamie. Inny znaczek przedstawia aniołków, ubranych w przepiękne, indyjskie piórpusze. Ale najciekawszy jest znaczek 10-centowy. Widzimy na nim trzech Indian, strzelających z łuków do... gwiazdy.

Postacie biblijne przedstawiane na znaczkach bożonarodzeniowych mają różne rysy twarzy i kolory

skóry. Oto kilka serii wydanych przez pocztę Samoa i Sisofo. Szopka jako żywo przypomina typowe, polnejsze chaty, pokryte liśćmi palmowymi. Postacie Jezusa i Madonny są jakby żywym wyjęte z obrazów Gauguina.

Inne motywy znaczków bożonarodzeniowych i noworocznych to dziecięce zabawki, które zwykliśmy wręczać pod choinkę (dub gałązki palmy kokosowej) naszym milusińskim. I tak np. pocztą szwedzką w zeszłym roku na znaczku bożonarodzeniowym pokazała pięknego misia, a pocztą amerykańską pluszowego, uroczego Mikołaja. Nie może zabraknąć na znaczkach bożonarodzeniowych również tradycyjnej choinki, betlejemskiej gwiazdki, trzech królów...

KOLEKCJONER

Miasto płaci alimenty

Tego jeszcze nie było, aby miasto płaciło alimenty, a ojciec czuli się wszyscy dorodzi mężczyźni miłośnicy, liczącej 12,5 tys. mieszkańców. Sprawa wydarzyła się w Tittsee-Neustadt (RFN).

36-letnia mieszkanka tego miasteczka Gisela Bela miała już 6 dzieci i ponieważ nie chciała mieć więcej, postanowiła się wysterylizować. Zabieg został wykonany przez doświadczanego chirurga w miejscowym — miejskim szpitalu. Niestety zabieg został źle wykonany i kobieta zaszła w ciążę, a następnie urodziła 7 dziecko — chłopczyka Andreasa.

Kobieta zaskarżyła władze miejskie i sprawę wygrała. Sąd przyznał jej alimenty w wysokości 220 marek miesięcznie, które miasto musi płacić do 18 roku życia Andreasa, oraz jednorazowo za ból przy porodzie w wysokości 1000 marek.



Zbigniew Waydyk

MYŚLI NIESFORNE

Niektórzy mówią: „póki ludziom dobrej woli” holubia w sercu wojnę.

Przy jarzącej się choince jarzą się jeszcze poniekąd serca.

Petenci — kolednicy non stop.

Zimne ognie ludzkich postaw nie dają gigakalorii humanistycznego ciepła.

Niejedną pod choinką znalazłby najchętniej gdzieś zapodżanego samego siebie.

Wiele zwykłych, codziennych spraw pozostaje w takim spektakularnym, świątecznym zawieszaniu jak świecące cacka i bombki na choince.

Najpilniejsza potrzeba naszych czasów: pospolite ruszenie sumień.

Od wielkich wadziaków uwolnią nas historyczne lekcje pokory, od dyktantów i niedorajdów możemy się uwolnić wyłącznie sami.

Z tematyki biurokratycznego sympozjum: „Papier jako środek dojścia do celu”.

Abym stanął mocno na nogach, trzeba skończyć z taktiką permanentnego padania na twarz.

KRZYŻÓWKA ŚWIĄTECZNA Z HASŁEM

Po prawidłowym rozwiązaniu krzyżówki, litery w polach ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione w kolejności od 1 do 48, utworzą hasło, które wystarczy podać jako rozwiązanie całego zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW

POZIOMO: 1) pieczeń rzymska, 7) wielka ilość, 11) Święty — rozdać — prezenty, 13) zamiar, plan, 14) sąsiednia granica, 15) zdobywca nagrody, 17) miejscowość kojarząca się z Bożym Narodzeniem, 19) ptak lowny z rzędu kuraków, 21) „widzi” w ciemności, 22) król z szopki, 24) zasilą Narew, 25) ptak wodny, 28) trunek z gwiazdkami, 29) mebel do siedzenia, 30) pojazd Świętego Mikołaja, 31) krewny w linii męskiej, 34) deszeń w kratkę, 36) autor powieści „Daleko od Moskwy”, 38) statek Noego, 40) pierwszeństwo, 43) biblijny brat Mojżesza, 45) rezydencja królewskiego, 49) chodzący z szopką lub gwiazdą w okresie świąt Bożego Narodzenia, 51) jeden z darów złożonych przez Trzech Króli, 52) maszyna wykonująca pracę bez udziału człowieka, 53) twardy do zgrzyzienia, 54) lina, 55) choinkowe ciasto, 56) kuzyn karpia, 57) podnośnik.

PIKOWO: 2) błyszcząca ozdoba choinkowa, 3) odprowadzanie w noc Bożego Narodzenia, 4) nocny ubiór, 5) wąż w okularach, 6) stan z Honolulu, 8) wigilia Bożego Narodzenia, 9) jeżeli choinkowa, to np. włosy anielskie lub bombka, 10) tafia szklana, 12) niejedno na choince, 15) matka pięknej Heleny, 16) brutto — netto, 18) miod-

da owca, 20) rola po kuracji odchudzającej, 23) prezent od Świętego Mikołaja, 24) uroczysta wieczerza w przeddzień świąt Bożego Narodzenia, 26) „KOCHAN”, „CHOINKA”, 27) do łamania się przy wigilijnym stole, 32) pływający znak nawigacyjny, 33) jednostka pojemności elektrycznej, 35) np. ubieranie choinki albo roznoszenie podarków przez Świętego Mikołaja, 37) jest nim również hasło z naszej krzyżówki, 39) pieśń operowa, 40) piatek oglądany przez mikroskop, 41) boczna część czoła, 42) noszona do spódnicy lub spodni, 44) urządzenie do zawieszania ruchomych części stołarskich, 46) od nowego wiersza, 47) drukarskie wydanie, 48) na plecach Świętego Mikołaja, 50) przeciwieństwo zła.

HELLES

Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesła prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy 10 nagród książkowych. Na kopertach (kartach pocztowych) prosimy zamieścić dopisek: „Krzyżówka świąteczna”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NRU 22

POZIOMO: środek, sterczyk, imośód, Rosalia, luna, półksiężyc, śmieć, statyka, próżnia, edycja, alourodzaj, młód, konował, ubóstwo, taksator, napaść, PIONOWO: śmiałość, oboknie, echo, terakota, rozpętłość, małaśka, kłaśka, sdrój, cięgiarówka, słodoko, nasdroś, rzeźnik, idiotka, unikat, papuś, róża.



Rozmyślenia przy łowieniu

Wigilia z Polikarpem

Pierwsza gwiazdka świeci już dość długo, kiedy wigilijna krzątanka dobiega końca i gospodyni domu zaczyna szykować stół do kolacji. Tradycyjnie w naszym kraju stawia na stole dodatkowe nakrycie dla niespodziewanego gościa i głowa domu daje znak do rozpoczęcia uroczystej wieczerzy. Zgodnie z tradycją rzuciłaby się na smakotyki od razu, ale obyczaj każe przez chwilę poczekać, czy ktoś jeszcze się nie zjawi i dopiero potem następuje dzielenie się opłatkiem i składanie sobie życzeń. Na pustym talerzyku pojawia się również kawałek opłatka niespodziewanemu i nieznanemu gościowi też wypada życzyć wszystkiego najlepszego, choć na pozór nie zawitał w progi gościnnego domu.

Tu i ówdzie dostrzegam ukradkowe spojrzenia niektórych domowników w stronę gościnnego talerza. Oczywiście wolne krzesło, jakoby nie było ono puste, lecz wypełnione mocno zakraplaną postacią, wypełniającą owe krzesło po same

brzegi. Ten i ów z biesiadników uśmiecha się przyjaźnie, przerywa na chwilę spożywanie tradycyjnej ryby, napętnia kieliszki (ten gościnny także) i wznosi pierwszy toast właśnie za pomyślność obecnych niesobecnym. Inny zaś odwraca wzrok, wykazuje lekkie zdenerwowanie (aż prowokuje pytania rodziny: „Co ci jest?”) i też po chwili zmusza się do okazania wyrazów gościnności. Puste miejsce wypełnia się, atmosfera przy stole gęstnieje.

Tak, to ja, Polikarp, jestem z Wami, to ja dzielę się z Wami opłatkiem, to ja odważam Wasze serdeczne życzenia.

Ktoś nakłada mi na talerz smacznego karpia. Pochyliam nad nim swoje wyblakłe od ciągłego wpatrywania się w spławik oczy. Jestem skromny. Nie chcę słuchać słów podziękowania za odstępstwo gościa z domu mojej przysięgi, bo podarunku domu mojej przysięgi, bo swoją nieopatrzność zgubił. Ja też od niejednego podobną pomoc otrzymałem, rachunek się wyrównuje. Ale w innym domu nie spuszczałem wzroku. Domownik się miesza, widelce

wypada mu z rąk, wyraźnie sobie przypomina, jak to niedawno wypominał mi nad rzeką niewymiarowego leśniczka stwierdzając, że plotkę w torbie mam większą od jego ryby. Żeby zatruować swoją konsternację szybko wznosi toast, by ryby bardziej rosły w przyszłym roku.

W kolejnym domu, który odwiedza, gospodarzowi na mój widok purpurowieje twarz, ręka mu sztywnieje i zalewa wodką (właśnie na pamięć kieliszki, kiedy się pojawił) czystutki obrus. Przy stole konsternacja, pani domu czyni wyrzuty mełowi wymyślając mu, że niedorajdów i akierotyków. Tak, to ten sam, który swego czasu wraz z kolegą zarzucał podrywku tuż obok mojej wędki i na domiar złego wkładał do sadzika w charakterze żywców wszystkie niewymiarowe plotki, co już wykraczało poza normy przyzwoitego zachowania towarzyskiego. Na zwróconą mu wówczas uwagę odburknął coś nieprzyjemnie i nie zmienił postępowania, tak że to ja musiałem zmienić stanowisko. A teraz wyraźnie widzę w jego oczach wigilijną obietnicę... nie, nie poprawy na przyszłość, ale wykapania mnie przy najbliższym spotkaniu nad rzeką. Więc i teraz zmieniam stanowisko i odnajduję się w nowym mieszkaniu. Robi mi się tu szczególnie przyjemnie. Rodzina liczna, kuzyni, wszyscy bardzo serdeczni, uprzejmi. Na półmiskach wyjątkowo dużo dań rybnych. Spodziewałem, że nie tylko karp doczekał się tu wigilijnej konsekracji, ale i okoń, płoć, a nawet miętus! I nie tylko jedna osoba pozna mnie dostrzegając — prawie wszyscy! Z rybków różnorodnie orientuję się, że na stole jest prawdziwa wędkarska ryba, że żona i kuzyni mają feliętonem zadowolając zrozumienie uroczystej pasji głowu domu i popierając rodzinę się takowej u gromadki do-rastającego potomstwa.

Nie mogłem się u nich już obżerać, w tylu domach musiałem dotrzymać towarzysztwa w spełnianiu toastów i opróżnianiu półmisek. Aby jednak nie sprawić im przykrości swoją odmową, a jednocześnie wynagrodzić jakos szczególnie serdeczne przyjęcie, zaśpiewałem wędkarską koledę Polikarpa, którą po chwili wszyscy ochoczo podchwycili:

Przybieżeli do Betlejem wędkarze, każdy niósł najwęższą rybę Mu w darze.

Chwała na wysokościach, chwała na wysokościach, a póki na ziemi. Karol linka wydobywa z pokorą i tłumaczy: „Latós większe nie biorą”.

Chwała na wysokościach...

Bodzio chce węgorem swym się poszczycić, lecz nie może drania za teł uchwycić.

Chwała na wysokościach... Wicio niesie dwie płoteczki na tacy, że wymiary ich zamarzył, tłumaczy. Chwała na wysokościach... Jasio przez łupę szuka suma na wozie.

Widąc ten mu tak się skurczył na mrozie.

Chwała na wysokościach... Zaś Polikarp tylko ręce rozkładając: „Taka mi się dziś urwała” — powiada.

Chwała mu za to wielka, że honorowo zęłął, a nie dał — drobniący.

Wraz z tą koledą życzenia Wesołych Świąt i pomyślności w roku przyszłym wszystkim wędkarzom (nawet tym, co byli na bakier z regulaminem i normami towarzyskiego obcowania, którym z okazji świąt wybaczam) i ich przyjaciółom składa —

POLIKARP

